MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 30. WARSZAWA, 15 LIPCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

RASIZM

JAKO PODWALINA IDEOLOGICZNA HITLEROWSKICH NIEMIEC

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, że na przeczytanie książki dr. Stojanowskiego o rasizmie [1]), mimo że ukazała się już przed kilku miesiącami, znalazłem czas dopiero w chwili obecnej. Jest to sprawozdanie nieco już wprawdzie spóźnione, pisać o książce takiego i tak aktualnego znaczenia w trzy miesiące po jej ukazaniu się, — zwłaszcza, że czytelnicy „Myśli Narodowej" mieli już po jej wyjściu z druku sposobność zapoznać się z nowemi spostrzeżeniami dr. Stojanowskiego [2]), stanowiącemi jej uzupełnienie. Niemniej korzystam z okazji, by się z czytelnikami „Myśli" podzielić wrażeniem, jakie ta wyśmienita i poprostu otwierająca nowe, rozległe widnokręgi myślowe książka na mnie wywarła.

Dr. Stojanowski zaczyna swą książkę od rozważań, dotyczących przyczyn tak olbrzymiego sukcesu tysiącletniej ekspansji niemieckiej na wschód,— na ziemie słowiańskie, — i stwierdza, że przyczyną powodzenia tej potężnej ekspansji była nietyle wyższość kulturalna Niemców nad Słowianami, co niemiecki duch zdobywczy, konsekwentna wola przeprowadzania coraz to nowych podbojów, oraz dynamiczne pojmowanie życia swego narodu, a pozatem — rzecz nie ostatnia — umiejętność podsycania i wyzyskiwania na swoją korzyść waśni między narodami słowiańskiemi, oraz posługiwania się, w walce przeciwko Słowiańszczyźnie, ideami o charakterze uniwersalistycznym, takiemi, jak katolicyzm w średniowieczu, — a socjalizm, lub masonerja w czasach naszych. Taką właśnie ideą ma się obecnie stać rasizm.

Następnie, — poprzez analizę skutków dla narodu niemieckiego poniesionej w roku 1918 klęski wojennej, — dochodzi autor do podkreślenia roli ideologji rasowej w Niemczech powojennych, oraz do stwierdzenia ścisłej i niemal nierozerwalnej łączności, zachodzącej między ruchem rasowo-eugenicznym, a obozem politycznym narodowo-socjalistycznym (hitlerowskim).

To wszystko zajmuje dwa rozdziały wstępne. W dalszym ciągu zdaje autor sprawę z historji ruchu rasowego. Jak się okazuje, geneza tego ruchu, opierającego się na tezie nierówności ras ludzkich, tkwi głęboko w przeszłości. Teza ta dźwięczy już w sporach teologicznych w pierwszych wiekach naszej ery, dotyczących zagadnienia, czy murzyni i inne rasy kolorowe też pochodzą od Adama i Ewy. Spór między monegenistami (zwolennikami tezy o pochodzeniu wszystkich ras od Adama i Ewy) oraz poligenistami (twierdzącymi, że rasy kolorowe, — „praeadamici", — stworzeni zostali jeszcze przed stworzeniem Adama i Ewy), — przybrał na sile w epoce Odrodzenia i Reformacji. Kościół katolicki stał przez cały czas niezachwianie na stanowisku monogenizmu, — obóz poligenistów rekrutował się z pośród jego rozmaitego autoramentu przeciwników. Silne twierdze miał poligenizm m. in. w krajach protestanckich (np. w Ameryce, — w okresie, gdy aktualna była sprawa murzyńskiego niewolnictwa). Z czasem spór monogenistów z poligenistami przeniósł się do dziedziny nauki antropologji, — stając się sporem między zwolennikami, iż ludzkość stanowi jeden, lub też kilka gatunków przyrodniczych.

Nową erę w tym sporze stanowi słynna książka hr. A. de Gobineau, — wprawdzie monogenisty, — o nierówności ras ludzkich. Od tej chwili zaczyna się — rasizm.

Hr. de Gobineau, — dzieląc ludzkość na trzy wielkie rasy (białą, czarną i żółtą), przypisuje rasie czarnej brak większych uzdolnień, oraz rasie żółtej uzdolnienia jedynie w dziedzinie zaspokojenia potrzeb materjalnych, — natomiast rasę

---

[1]) Dr. Karol Stojanowski, docent uniw. pozn., „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", Poznań 1934, nakładem „Głosu", stronic 153.

[2]) Karol Stojanowski „Przeciwmasonerja, czy masonerja?", „Myśl Nar." nr. 22 z dn. 27 maja 1934.

białą, która zresztą nigdzie nie dochowała się w zupełnej czystości, uważa za twórcę wszystkich wielkich cywilizacyj, chińskiej i staroamerykańskich (Peru, Meksyk, Alegany) nie wyłączając.

Teorja tego niepospolitego Francuza znalazły żywy oddźwięk w Niemczech, a poczęści także i w innych krajach germańskich. Na przestrzeni długiego okresu czasu powstała — zwłaszcza w Niemczech — obszerna literatura, zarówno o charakterze naukowo - antropologicznym, jak i o charakterze czysto publicystycznym, rozwijająca teorje Gobineau'a i starająca się ugruntować tezę o wrodzonej wyższości rasy nordycznej (rasy długogłowego blondyna). Stanowiło to podłoże do rozwoju niemieckiej myśli rasowej w latach powojennych.

Główną postacią w powojennym obozie niemieckich rasistów jest profesor antropologji społecznej na uniwersytecie jenajskim, Hans Günther. Günther przypuszcza, że 45 — 50% Niemców należy do rasy nordycznej, 20% do alpejskiej, 15% do dynarskiej, 8% do wschodnio-bałtyckiej, 5% do falickiej, 2% do śródziemnomorskiej, 2% do mongolskiej i sudeckiej. Rasa nordyczna zamieszkuje Niemcy północno-zachodnie, zmniejszając się w kierunku wschodnim i południowym. Poza granicą językową polsko-niemiecką nie można już, według Günthera, mówić o jakiejś przewadze rasy nordycznej (nie jest to zgodne z wynikami badań polskich, które stwierdzają przewagę rasy nordycznej na znacznych obszarach Polski i Litwy). Ważnym szczegółem teoryj Günthera jest teza o denordyzacji *Entnordung* Niemiec i innych krajów,— t. j. o wymieraniu rasy nordycznej i zmniejszaniu się jej odsetka śród ogółu ludności. Tezy Günthera, — wiara w przyrodzoną wyższość rasy nordycznej, przeświadczenie o jej przewadze liczebnej w Niemczech i innych krajach germańskich oraz jej słabej liczebności w krajach słowiańskich, a wreszcie obawa stopniowego zmniejszania się roli nordyków w życiu niemieckiem, — stanowią podstawę myślową politycznego ruchu rasowego, który się stał integralną częścią hitleryzmu.

Niesposób tutaj streszczać wszystkich, zanotowanych przez dr. Stojanowskiego konsekwencyj, jakie ideologja nordyczno-rasowa za sobą pociągnęła, zarówno w dziedzinie polityczno-programowej, jak nawet w bieżącej, praktycznej działalności obozu hitlerowskiego. Wymienię tylko parę momentów najważniejszych, bądź też najciekawszych.

Obawa denordyzacji pociąga za sobą postulat walki o utrzymanie lub wzmożenie nordycznego charakteru Niemiec. Stąd cały szczegółowo rozwijany program akcji, mającej na celu t. zw. *„Aufnordung"* (t. j. nordyzację).

Rasa nordyczna jest najwięcej warta — trzeba jej więc zapewnić przewagę polityczną w Niemczech, — zrekrutować z niej nową szlachtę *(„Neuadel")*. Stąd system działań, — poczęści już nawet przez hitlerowskie Niemcy przedsiębranych praktycznie, z proponowaną reformą rolną, mającą oprzeć ustrój agrarny Niemiec na systemie dziedzicznych, niepodzielnych „dworzyszcz" (jakby ordynacyj), będących w wyłącznem władaniu „nordyków", na czele, — co wszystko zapewnić ma rasie nordycznej lepsze warunki prosperowania, oraz uczynić z niej społeczną i polityczną elitę. Jak Stojanowski zauważa, — hitleryzm, przez oparcie się o zasadę supremacji rasy nordycznej, stwarza sobie warunki dla nadania swej elicie kierowniczej cech trwałości również i po śmierci obecnego pokolenia, — podczas, gdy brak dziedziczności elity, a wskutek tego niebezpieczeństwo uzupełniania się jej w przyszłości przez żywioły przedewszystkiem karjerowiczowskie, jest wielką słabością faszyzmu włoskiego i bolszewizmu rosyjskiego.

Rasa nordyczna — to rasa przeważająca śród ludów germańskich, oraz śród niektórych ludów ościennych. Stąd naturalna dążność do nawiązazania nici solidarności między wszystkiemi temi ludami — a może z czasem związania ich w jedno wielkie, nordyczne państwo. Ukuto już termin, obejmujący rzekome terytorjum nordyczne w Europie: *„Germanische Abendland"* Ten „zachód germański" — to Niemcy, Austrja, Czechy, Skandynawja, Wielka Brytanja, Belgja, Holandja, kraje bałtyckie, cześć Finlandji, północno-zachodnia połowa Polski, oraz północna połowa Francji. W krajach tych, — przynajmniej w tych, w których się to da, — prowadzi się już intensywną akcję w duchu nordycznym. Połączenie tych krajów w jedno państwo wydaje się utopją, — ale ostatecznie „Rzymskie Cesarstwo Narodu Niemieckiego", oraz wilhelmowska *„Mitteleuropa"*, — to były w nie mniejszym stopniu utopje. „Mam wrażenie", — pisze Stojanowski, — „że właśnie ta rzesza pannordyczna jest to dopiero hitlerowska trzecia rzesza".

Skoro rasa nordyczna jest pierwszą w świecie, — skoro ludzie nie są sobie równi, — w takim razie zachwiane są podstawy religji chrześcijańskiej. Czyni się próby znalezienia mostu zgodności między chrześcijaństwem a rasizmem przez próby wykazywania, że Chrystus Pan był nordykiem. Ale częściej — i z większą logiką — dochodzi się do negacji chrześcijaństwa jako religji „semickiej", obcej duchowi rasy nordycznej. Obok prób zwracania się ku aryjskim wierzeniom irańskim lub indyjskim — przyniosło to w konsekwencji powstanie nowej wiary, nawracającej do starogermańskiego pogaństwa. Wiara ta, posiadająca już własną formę organizacyjną („nordyczno-rasowe wyznanie wiary") i mająca już rzekomo 100.000 zwolenników, staje się trzecią, obok protestantyzmu i katolicyzmu, religją niemiecką, mającą szanse, mimo swej obecnej słabości liczebnej, szybkiego dalszego rozrostu dzięki rozkładowi religji protestanckiej.

Stojanowski wylicza obok tego szereg niebezpieczeństw, któremi ugruntowanie się rasizmu może narodowi niemieckiemu grozić.

Przedewszystkiem — grozi ono powstaniem w łonie narodu niemieckiego walk wewnętrznych na tle opozycji innych ras przeciw supremacji rasy nordycznej. Mogłoby nawet dojść do... rasowej rewolucji. Stojanowski nie przecenia tego niebezpieczeństwa — i podkreśla, że dzisiaj, w stosunkach wewnętrznych Niemiec, niebardzo jeszcze stosowanie pojęć rasowych widać, a raczej widać, jak dotąd, raczej stosowanie humanistycznego, niż antropologicznego pojęcia rasy (rasa utożsamia się z narodem). Ale z czasem zapewne pojęcia się tu zacieśnią i ścisłość ich stosowania się zwiększy.

Drugiem wielkiem niebezpieczeństwem, — związanem z poprzedniem, — jest możliwość obudzenia się dawnych atawizmów etniczno-rasowych. Cały wschód Niemiec, — rasowo bynajmniej nie

noryczny, — jest pochodzenia słowiańskiego. Ciekawa jest informacja, podana przez Stojanowskiego, że departament rasowy przy niemieckiem ministerstwie spraw wewnętrznych zarejestrował, jak dotąd, półtrzecia miljona osób z przymieszką krwi żydowskiej, — przyczem rejestracja ta daleka jest jeszcze od ukończenia. Osoby te, rzecz prosta, spychane są teraz do ghetta. Rzecz prosta, że w wypadku żydów, to odwrócenie się paru miljonów osób od niemieckości, nie jest dla narodu niemieckiego szkodliwe. Oczywiście, niepodobieństwem jest przypuszczać, by podobną politykę zastosowano z czasem również i do osób pochodzenia słowiańskiego. Ale nie potrzeba na to zorganizowanej polityki rządowej, — wystarczą odruchy niechęci czy lekceważenia ze strony społeczeństwa, — by śród dotkniętych niemi odłamów ludności wzbudzić uczucia o daleko idącem dla narodu niemieckiego znaczeniu.

Stojanowski wylicza jeszcze i inne niebezpieczeństwa rasizmu dla Niemiec. — Wylicza obok tego i skutki dodatnie.

Jak widać z samego tylko tego streszczenia — książka dr. Stojanowskiego zawiera niesłychanie wiele materjału bardzo wielkiej wagi. Oczywiście, tem więcej dotyczących życia niemieckiego faktów — politycznych, kulturalnych i ideowych, ważnych a nieznanych, znajdzie w pracy dr. Stojanowskiego ten, kto ją przeczyta od deski do deski.

Konkludując więc, dzieło dr. Stojanowskiego należy do książek tego typu, które nietylko informują, ale budzą myśl, — pobudzają do samodzielnego przemyślania poruszonych w nich zagadnień.

Oczywiście, byłoby jednostronnością widzieć dzisiejsze Niemcy jako kraj, wyłącznie i wszechwładnie opanowany ideą rasową. W pędzie hitlerowskim dźwięczy wiele strun bardzo różnych, — są w nim dążności, które się z kierunkiem myśli rasowej dość wyraźnie krzyżują. Być może dojdzie kiedyś do rozejścia się dróg hitleryzmu i rasizmu, — albo do stępienia ostrza rasizmu. Być może również, że dalsza obserwacja faktów pod niejednym względem skoryguje ten obraz ruchu rasowego, jaki się przed naszemi oczyma zarysowuje obecnie.

Alę jedno jest pewne — i dr. Stojanowski udowodnił to swą książką w sposób niezbity, — że rasizm stał się w życiu niemieckiem czynnikiem politycznym, kulturalnym, ideowym moralnym, nawet religijnym tej wagi, że przy ocenie tego, czem są dzisiejsze Niemcy, nietylko że musi się go brać w rachubę — ale należy go zaliczyć do grupy faktów, wysuwających się na plan pierwszy.

JĘDRZFJ GIERTYCH

FASZYZM A ŻYDZI

DOTYCHCZAS utrzymywało się naogół przekonanie o pokojowych stosunkach pomiędzy rządem faszystowskim i żydami włoskimi, oraz o nieistnieniu we Włoszech kwestji żydowskiej. Dziwna ta opinja i niezrozumiała, gdy się jest świadomym całej agitacji, jaką organizacje, kierowane przez żydów, prowadziły przeciwko temu rządowi, gdy się wie o kampanji, jaką w swoim czasie prowadził Toeplitz za pomocą swego *Banca Commerciale Italiana* przeciwko *Banca d'Italia*, gdy się wreszcie zdaje sobie sprawę z rażącego kontrastu pomiędzy zasadniczemi dążeniami faszyzmu a dążeniami politycznemi żydostwa,—dziś już musi być poddana rewizji, w ostatnich bowiem latach rozwój organizacyj syjonistycznych we Włoszech nasuwa przypuszczenie, że wreszcie konflikt dwóch dążeń przeciwnych się ujawni i włoskie czynniki rządowe będą zmuszone do powzięcia w sprawie żydowskiej podobnej decyzji, jaką powzięły w dniu 15 lutego pierwszego roku ery faszystowskiej przeciwko masonerji, w następującem orzeczeniu: „Wielka Rada Faszystowska... wzywa faszystów, należących do masonerji do zdecydowania o wyborze przynależności bądź do Partji Narodowej Faszystowskiej, bądź do Masonerji, ponieważ dla faszystów istnieje jedna tylko dyscyplina, dyscyplina Faszyzmu, oraz jedna tylko hierarchja, hierarchja Faszyzmu".

Wyjaśnienie obecnego stanu rzeczy w kwestji nas interesującej znajdujemy w niżej przedrukowanym artykule dra Giovanni Preziosi, redaktora bardzo ważnego włoskiego czasopisma politycznego *„La Vita Italiana"*. Dr. Presiosi udzielił Redakcji „Myśli Narodowej" upoważnienia do przetłumaczenia i wydrukowania swych rozważań na temat ciekawego faktu, omówionego w artykule, wiążącego się z wyborami tegorocznemi do Parlamentu Włoskiego w dniu 25 marca, faktu wymownego i interesującego dla naszych środowisk narodowych.

TERAZ KOLEJ NA ODPOWIEDŹ ŻYDÓW

(*„La Vita Italiana"*. Anno XXII. Fasc. CCLIII. Roma, Aprile 1934. — XII).

Dzienniki z 30 marca podały wiadomość, że pewne ugrupowanie żydowskie zostało zaasekurowane sądownie, ponieważ utworzyło organizację antyfaszystowską, działającą we Włoszech przy współdziałaniu eksponentów w organizacjach emigracji w Paryżu. Jednemu z sześciu niżej wymienionych Levi udało się zbiec na terytorjum szwajcarskie, skąd, poza innemi niskiemi inwektywami przeciwko Italji, wykrzykiwał: „Psy włoskie, podli" [1]).

---

[1]) Oto tekst notatki:

Rzym, 30.III.1934. — Dnia 11 b. m. przejeżdżał przez wąwóz Ponte Tresa od strony Szwajcarji automobil zagranicznej marki, prowadzony przez właściciela Segre Sion, lat 24, urodzonego i zamieszkałego w Turynie, jadącego wraz z Levi Mario, zamieszkałym w Ivrea.

Gdy auto zostało zatrzymane dla przeprowadzenia normalnej kontroli granicznej, stwierdzono, że obaj pasażerowie są w posiadaniu licznych druków i książeczek antyfaszystowskich, które miały być rozdane przed wyborami 25 marca.

Levi, zdając sobie sprawę, że jest zdemaskowany, rzucił się do ucieczki, wracając na terytorjum szwajcarskie, skąd poza innemi niskiemi inwektywami przeciwko Narodowi włoskiemu, wykrzykiwał: „Psy włoskie, podli".

Na podstawie pierwszych zeznań, danych przez aresztowanego Segre Sion, na podstawie dokumentów i notatek, znalezionych przy nim i w jego mieszkaniu, jak również w biurze Levi Mario w Ivrea, rozpoczęto natychmiastowe śledztwo, które dało w wyniku zidentyfikowanie i aresztowanie innych osób, którzy wraz z Mario Levi i z Segre Sion

To stanowi „fakt". Co do „komentarza", to nie chcę go używać, by z niego czerpać konsekwencje o charakterze ogólnym przeciwko żydom, którym nie mam nawet zamiaru z tej okazji przypominać, że dziś kroniki wydarzeń w świecie przepełnione są ich działalnością rozkładową, ponieważ żydami przecie byli dwaj przywódcy rewolucji w Austrji, którzy uciekli z Wiednia, gdzie „pracowali" wraz z żydem Adlerem; we Francji był żydem Stawiski i jego główny wspólnik Coen; przez nie mających szczęścia żydów (Józefa Lévy i Dawida Cohena) został założony *Outitillage Nationale* przeciwko Stawiskiemu; trzej wreszcie młodzieńcy żydowscy, należący do loży „Prawo i Obowiązek" tworzą, nie mając jednego solda, specjalne towarzystwo finansowe z kapitałem trzydziestomiljonowym i dzielą pomiędzy sobą akcje.

Nie. Chcę raczej przypomnieć patrjotyzm, którego dało dowód tylu żydów we Włoszech, zarówno podczas pokoju, jak podczas wojny; chcę zwrócić uwagę na ich zasługi w dziedzinie kultury, w działalności społecznej, w rządzie Narodu, na zasługi bezwzględnie należące do historji wielkości Włoch.

Co do smutnego faktu dzisiejszej kroniki, to wyzyskać go chcę nie dla gry polemicznej w celu potwierdzenia tego, co od dwudziestu lat dokumentuję, lecz dla rozpatrzenia w najkrótszym zarysie głównych zagadnień kwestji żydowskiej, z punktu widzenia włoskiej obrony narodowej.

Żydzi w świecie (w sumie 17 miljonów) dzielą się, jak to wykazałem w zakończeniu „Protokułów Mędrców Syjonu" na trzy ugrupowania:

a) syjoniści właściwi, zorganizowani przez Herzla, mający za cel odbudowanie państwa żydowskiego Jerozolimskiego (Syjon w Palestynie);

b) syjoniści, którym nazwę tę nadaje się niewłaściwie, a którzy raczej winni zwać się terytorjalistami, zorganizowani przez Zangwilla (centrum angielskie), i którzy dążą do utworzenia „ziemi żydowskiej", lecz w jakimkolwiek punkcie świata, byle tylko mogli się tam znajdować w dobrych warunkach;

c) kosmopolici, którzy chcą przeciwnie, by Izrael pozostawał rozproszony w świecie, by mógł nim rządzić: z tych niektórzy solidaryzują się z oportunizmu z syjonistami, popierając ich akcję; w rzeczywistości jednak program ich nie jest ani syjonistyczny, ani też terytorjalny.

Co do ogólnej żydowskiej polityki społecznej, można wyróżnić trzy inne grupy:

a) żydzi ultra-konserwatyści, zorganizowani koło 1880, przeciwni wszelkiej kulturze i wpływom „goy" (nie żydowskim);

b) konserwatyści, którzy godzą się na konieczne stosunki z życiem „goy", byle tylko życie żydostwa pozostało w swoich tradycjach nienaruszone;

c) socjal-demokraci, którzy bardziej od klasycznych socjalistów Marxa i Bebela opanowali demokracje europejskie i amerykańskie i kierowali niemi aż do dzisiejszych niezależnych i bolszewików w Rosji, oraz spartakowców w Niemczech. Ci zorganizowani zostali przez dawny „*Bund*" (wyraz niemiecki, który znaczy tyle co Związek) żydowskich rewolucjonistów, który ujawnił się na kongresie w Genewie w roku 1906.

Wielkie banki żydowskie subsydjują wszystkie trzy ugrupowania i wszystkie trzy kierunki, posługując się niemi.

Niedawna polemika w prasie włoskiej, specjalnie zaś bardziej wyczerpująca w „*Tevere*" wykazała, że żydzi we Włoszech są znowu podzieleni na dwie specjalne grupy:

1) żydzi, którzy uważają, że obowiązki „syjonistów" nie dają się pogodzić z obowiązkami „prawdziwych i twórczych Włochów".

2) Żydzi będący zdania, że można być jednocześnie dobrym Włochem i syjonistą.

To właśnie rozróżnienie interesuje nas z punktu widzenia narodowego; w obliczu niego winni stanąć wszyscy żydzi włoscy. Dlaczego zaś syjonizm oceniany jest w sposób odpowiadający jego rzeczywistemu charakterowi, odpowiem słowami pewnego uczonego żyda, syjonisty o sławie światowej. Jedną bowiem z książek bardziej poważnych o żydach jest „*Gli ebrei di oggi*" A. Ruppina (wyd. Fratelli Bocca w Turynie), gdzie na str. 365 — 366 czytamy słowa następujące:

„To, co już zdziałał syjonizm w kierunku ożywienia żydostwa, to nie może być jeszcze w należytym stopniu ocenione. Dzięki swym kongresom, w których brały udział setki delegatów wszystkich części świata, syjonizm nie tylko przywrócił jedność międzyterytorjalną żydów — co przedtem zresztą robiła „*Alliance Israélite Universelle*". — lecz co więcej stworzył stałe porozumienie *(intesa)* międzyterytorjalne żydów. Syjonizm oddał do dyspozycji swych instytucyj fundusz około 10 miljonów franków, co jest świadectwem ducha poświęcenia, jego adherentów, przeważnie niezamożnych. Lecz największe znaczenie syjonizmu polega na tem, że dzięki samemu swemu istnieniu stał się nowym ideałem, dając w ten sposób nową treść życiu i aspiracjom tych żydów, którzy, oderwawszy się od religji żydowskiej, stracili wszelkie oparcie i wszelką wzniosłą myśl, będąc w ten sposób zmuszeni, jako chrzczeni, do współpracowania na rzecz kultury kraju zamieszkania w charakterze gości szanownych, lecz niezaproszonych, albo też rezygnując z wszelkiego ideału rzucić się w kierunku zarobku, lub też używania".

A zatem syjonizm:

1) ożywił żydostwo,

2) przywrócił jedność międzyterytorjalną żydów,

3) stworzył stałe porozumienie i współpracę międzyterytorjalną żydów,

4) dał nowy ideał i nową treść życiu i aspiracjom żydów, którzy (chrzczeni lub niechrzczeni) „stawali się zmuszeni do pracowania na rzecz kultury kraju zamieszkania."

W tem właśnie tkwi „niebezpieczeństwo syjonizmu". Niebezpieczeństwo zaś nie dlatego, że dąży do „stworzenia centrum narodowego, zagwarantowanego prawem międzynarodowym, dla narodu żydowskiego w Palestynie" (kongres w Bazylei zwołany w r. 1897 przez Herzla), lecz dlatego, że syjonizm jest ruchem, naokoło którego są ugrupowani i silnie zorganizowani, zarówno pod

---

utworzyli ugrupowanie antyfaszystowskie, działające we Włoszech z eksponentami w organizacjach emigrantów w Paryżu.

Nazwiska tych osób są następujące: Leon Ginzburg, urodzony w Odesie, Mussa Ivaldi, C. Vercelli, B. Alason, Giuliana Segre, Marco Segre, Giuseppe Levi, Carlo Levi, Leo Levi, Gino Levi, Riccardo Levi, C. Colombo, G. Guaita, C. Pasquali i Attilio Segre.

względem międzynarodowym jak narodowym, włoscy żydzi, obywatele Państwa, którzy, razem z miljonami innych żydów wszystkich krajów świata, płacą międzynarodowy podatek społeczny (szekel) i dążą do stworzenia innej, bardziej prawdziwej Ojczyzny.

Jeżeli w tem rzeczywiście tkwi niebezpieczeństwo syjonizmu, to sądzę, iż niema kraju, w którym wyjaśnienie kwestji żydowskiej narzucałoby się dziś bardziej, niż we Włoszech. Tak więc w końcu ubiegłego roku wymowną była wizyta włoskich studentów żydów w Erec Izrael, z której to okazji zostało wydane przez organizację Techjon i przez Uniwersytet Jerozolimski przyjęcie, na którem Leo Levi, dziękując gospodarzom w imieniu gości z dumą podkreślił, w mowie hebrajskiej, że włoskie ugrupowanie syjonistyczne jest jedyne w świecie, które zachowało nienaruszony skarb „hebraizmu integralnego" (por. „*Israel*" z 18.XI.1933).

Wyjaśnienie kwestji żydowskiej narzuca się we Włoszech tembardziej, że z pośród 56.000 żydów, którzy są pomiędzy nami, większość ich stanowią syjoniści, jeżeli mam wierzyć, p. Samuelowi Schaerfowi, który za pośrednictwem domu wydawniczego „*Israel*" we Florencji podaje wiadomość o zarejestrowaniu we włoskim urzędzie statystycznym organizacji „*Keren Hajesod*" (Fundusz odbudowy Palestyny) okrągłej cyfry 9.800 rodzin, więc większość żydów, zamieszkałych we Włoszech.

Z pośród nich „*La Vita Italiana*" od kwietnia 1930 roku publikowała nazwiska, na podstawie oficjalnych publikacyj żydowskich. W sumie było około 1650 nazwisk, średnio jedno nazwisko, na pięć rodzin. Tym zaś 9.800 rodzinom żydowskim, obywatelom włoskim, którzy poświęcają się dla „specyficznego narodowego problemu żydowskiego" poświęcę parę jasnych słów, nie moich i nie dziś wypowiedzianych:

„Teraz należałoby wiedzieć, jakie to są „specyficzne problemy", które stają przed żydami włoskimi. A to dlatego, że we Włoszech nie robi się różnicy między żydami i nieżydami, od religji począwszy, aż do polityki, wojska i ekonomji. Dotychczas mieliśmy w rządzie trzech żydów na raz. Nowy Syjon bowiem włoscy żydzi mają tu, w tej naszej ukochanej ziemi, którą zresztą wielu z nich broniło walecznie, przelewając krew. Miejmy nadzieję, że włoscy żydzi będą nadal na tyle inteligentni, by nie wywoływać antysemityzmu w tym jedynym kraju, w którym go nigdy nie było".

To są słowa Mussoliniego, pisane długo przed Marszem na Rzym w „*Popolo d'Italia*" p. t. „Żydzi, Bolszewizm a Syjonizm włoski". Teraz kolej na odpowiedź żydów.

GIOVANNI PREZIOSI

Postilla. W cytowanej książce Ruppina na str. 365 czytamy:

„W zachodniej Europie antysemityzm jest w każdym razie bardzo silnym czynnikiem na korzyść syjonizmu; upadek antysemityzmu spowodowałby również upadek syjonizmu. Nie jest w tem nic dziwnego, że w Niemczech i w Austrji „akademicy" należą liczniej do syjonizmu, tworząc w nim ośrodek stały. To jest konsekwencja antysemityzmu, który jest silny specjalnie na uniwersytetach i w wolnych zawodach, jak również jest wynikiem większej wrażliwości ludzi wykształconych na otrzymywane zniewagi".

Lecz we Włoszech, gdzie nigdy nie było antysemityzmu, jak mógł powstać syjonizm? Tembardziej, że nie można twierdzić, iż jest on mało rozpowszechniony, gdy, jak to wyżej widzieliśmy, urząd statystyczny „Funduszu odbudowy Palestyny" rejestruje 9.800 rodzin we Włoszech, a więc prawie całość żydów włoskich.

A więc?...

I tutaj mogę również pominąć pytanie pod adresem p. Leo Levi o znaczenie „integralne" pewnych innych jego enuncjacyj z okazji wyżej wymienionego przyjęcia, odbywanego wśród śpiewu „*Hedad*"; jak np. interesujące jest jego oznajmienie, że dla żydów włoskich syjonizm jest odzyskaniem Tory, równoznacznem z „odzyskaniem świadomości żydowskiej". Levi zapewnia pozatem, że „zaufanie do tej małej części Izraela, jaką jest żydostwo włoskie, nie będzie zawiedzione" i kończy deklaracją: „Czuję, że mogę przyrzec w imieniu mych wszystkich towarzyszy, że w ciągu trzech lat doprowadzimy do spełnienia tego, co zostało napisane w Paraszja"...

A co jest napisane w Paraszja?!...

Wolę wierzyć, że ten p. Leo Levi, który mówił o „odzyskaniu Tory" nie ma nic wspólnego ze swoim imiennikiem, aresztowanym Leo Levi...

UNIWERSALIZM — INDYWIDUALIZM — PERSONALIZM

UNIWERSALIZM — „KOLEKTYW"

W TEORJI społeczeństwa i moralności (etyce i filozofji politycznej) indywidualizm reprezentowany jest przez „utylitaryzm" oraz naukę o „układzie społecznym". Na początku jest jednostka, człowiek osobny (por. Stirnera: *Der Einzige u. sein Eigentum*"), tak się przyjmuje, jeśli nie w sensie historycznym, to w sensie stanowienia o wartościach. Jednostka w tych systemach jest pierwszą w społeczeństwie wartością i wogóle źródłem wartości. Ale jak sprawić, żeby jednostka o tej świadomości chciała się stosować do wymogów społecznych, i jak to sobie wytłumaczyć, że przecież jednak społeczeństwo istnieje? Otóż dowodzi się, że „dobrze pojęty interes" jednostki nakazuje jej w umowę ze społeczeństwem wejść i do umowy tej się stosować. Teraz są dwie możliwości: optymistyczna i pessymistyczna. Pessymizm (jak u Hobbesa) przyjmuje, że niewielu jest ludzi, którzy swój interes dobrze rozumieją — ale bądź co bądź społeczeństwo istnieć musi: skoro więc nie chcą wejść w układ społeczny dobrowolnie, należy ich przymusić, względnie należy uznać ich, o ile się nie poddadzą, jako za stojących poza społeczeństwem, więc pozbawionych praw; stąd potrzebny jest tyran, który się nie pyta o uprawnienie swej władzy, lecz siłą faktu utrzymuje masę ludzką w ładzie społecznym. Ale pogląd ten jest zarazem terrorystycznym; nie chcesz

wejść w jakiś nowy układ społeczny, to jesteś poza ludzkością i musisz zginąć (od Russa do Robespierre'a!). Natomiast według poglądu optymistycznego ufa się, że większość ludzi swój „właściwy” interes pojmie i że w naturze życia społecznego jest już zawarta jakaś taka możliwość harmonji, iż aczkolwiek każdy będzie robił to, co uzna za stosowne, byle przeciw swemu dobrze zrozumianemu interesowi nie wykraczał, byle nikomu nie przeszkadzał za swoim tak samo pojętym interesem iść — to już całość sama, poniekąd automatyczuie, złoży się i wszystkim będzie dobrze. To jest pogląd klasycznego liberalizmu ubiegłego wieku.

Optymistyczna odmiana indywidualizmu — etyczno-politycznego — ma tę słabą stronę, że powierza się logice powszedniego rozsądku powszednich ludzi, a tymczasem bardzo wielu z pośród nich wcale nie uważa, żeby ich „dobrze zrozumiany interes” nakazywał czynić jakieś, niezbędne przecież w życiu społecznem, a nieraz ciężkie, ofiary dla społeczeństwa. W małym klanie pierwotnym lub w jakiejś niewielkiej grupie rozbitków może być ten postulat zrozumiałym dla każdego, ale nigdy w społeczeństwie wielkiem i skomplikowanem; tu bez bezinteresownej sympatji niema mowy o porządnem funkcjonowaniu lub nawet trwaniu społeczeństwa. A tymczasem w utylitarnym systemie myślenia ta bezinteresowność jest członem logicznie zbędnym lub nawet wadzącym. W odmianie zaś pessymistycznej indywidualizmu, zostawia się pole otwarte wszystkim tyranom-uzurpatorom: nie widać bowiem żadnej zasady moralnej, na której podstawie możnaby wydać potępiający o nich sąd; wszystko staje się, nawet w teorji, nietylko w praktyce, kwestją siły.

Stąd stan walki wszystkich przeciw wszystkim („człowiek człowiekowi wilkiem”) uważany jest za stan normalny społeczeństwa. W odmianie rewolucyjno - demokratycznej każdorazowa większość społeczna zastępuje tyrana jednostkowego. Nie widać tu żadnej racji, na której podstawie społeczeństwo, jako całość, miałoby też mieć jakieś obowiązki moralne i żadnej racji, wedle której jednostka mogłaby w imię zasad moralności którejś z uchwał większości społecznej się przeciwstawić. Każdorazowe „tak się nam widzi” każdorazowej społecznej większości, jest w tym sposobie myślenia alfą i omegą moralności; a nie podoba ci się, to stawiasz się poza społeczeństwem i jesteś wywołańcem, którego każdy może bezkarnie utłuc... Prawem dialektyki ten indywidualizm skrajny przechodzi w skrajną formę uniwersalizmu. Ostateczności dotykają się.

*

Taki uniwersalizm, w którym społeczność rości sobie do jednostki prawa na zasadzie „układu” fikcyjnego, możnaby nazwać mechanicznym. Ale naogół uniwersalizm stara się bardziej organicznie związać jednostkę ze społeczeństwem. Czyni się to w ten sposób, że niejako w środku jednostki umieszcza się społeczeństwo. Jednostka, działając swobodnie, działa właśnie wedle wymogów społecznych, bo społeczeństwo w niej działa. Jednostka jest wytworem społecznym. W tej idei są możliwe zasadnicze odmiany: kolektyw socjalistyczny i „rasistowska”, „socjologiczna”, i ta, którąbym nazwał „dziejową” (o logicznej, w typie Spanna, już była mowa).

Kolektywizm komunistyczny (po polsku możeby „gromadztwo”), mimo że filozoficznie raczej na nominalizmie, niż na uniwersalizmie się wspiera, więc jednostkę-człowieka uważa za jedyny rzeczywisty element społeczeństwa, to jednak stara się usilnie degradować znaczenie jednostki w życiu kulturalno - socjalnem na rzecz zbiorowości: nie twórczość jednostki jest prawdziwie znacząca, ale twórczość bezimienna, „gromadzka”. Wobec tego człowiek, od gromady odrywając się, staje się mniej więcej tyle wart, ile jest warta ta skrzydlata mrówka w jesieni, która już w mrowisku niepotrzebna i którą wiatr uniósł. Wzór mrowiska, ula, termitjery, jest tu nieświadomą, czy nawet świadomą motywacją idealną.

To samo odnosi się do rasizmu, tylko że rasizm, z jednej strony, myślowo o wiele kosekwentniej uzasadnia tendencję kolektywną, a z drugiej zostawia więcej miejsca jednostce. Konsekwentniej, bo rozumuje tak: jeżeli ludzie mają działać harmonijnie i zgodnie, to muszą być wielce do siebie z natury podobni; ale żeby takiemi byli, muszą być całkiem takiego samego pochodzenia, więc najbliższymi krewnymi; muszą więc pochodzić z tej samej czystej rasy; wzór gatunku zoologicznego w kolektywizmie (socjaliźmie) narodowym czyli rasowym — stawia się *explicite*. Natomiast kolektywizm antyrasistowski (komunistyczny) nie umie należycie uzasadnić, skąd takie, w komunie potrzebne, absolutne podobieństwo działania gromadnego mogło wyniknąć. Stąd jego już w założeniach bardziej despotyczny charakter, raz po raz konieczne są „czystki”; „czystka” staje się poniekąd instytucją podstawową komunizmu; życie w komunizmie jest życiem w atmosferze „czystki”. Kolektywizm rasistowski naturalnie też podlega tej idei „czystki”, ale tam jest więcej optymizmu; jak się raz społeczeństwo oczyści z elementów rasowo nieczystych i obcych, które są dziedzicznie predestynowane do innego sposobu życia, nie mogą więc z gromadą rasową harmonijnie współdziałać i są przeto wzorem „złego” (bo i tu „dobre” jest to, co jest gromadzkie), to już będzie można dużo swobody społeczeństwu zostawić. Każdy, działając wedle swej natury, będzie działał dla kolektywu (a w ten sposób, znowu prawem dotykania się przeciwieństw, ocieramy się o światopogląd klasycznie liberalny). Ponieważ zaś najwyższe natężenie właściwości rasowych jest (tak są przekonani) z największym dla kolektywu pożytkiem, więc osoby wpełni rasowe mogą korzystać z pełni swobody. Ale ponieważ pełnię rasowości uzyskać można tylko przez hodowlę, więc pełnię swobody uzyskać mogą tylko specjalne starannie i ekskluzywnie hodowane grupy: arystokracja eugeniczna. Tak się przedstawia rasizm racjonalnie uzasadniony, po starciu zeń otoczy namiętności.

Zamierzając ocenić oba te kierunki gromadztwa, podkreślę jeszcze raz, co się powiedziało o atmosferze „czystki”:

bo oba, komunizm i rasizm, chcą być nietylko tradycyjnym obyczajem, lecz i systemem światopoglądu, a jako takie, objawiają tę niespokojną zazdrość i nienawiść wobec każdej odrębności sposobu myślenia, która jest dziełem każdego ściśle sprecyzowanego systemu myśli, co chce być jedyną i adekwatną podstawą pewnej, poszczególnej moralności i polityki.

Następnie, oba, w swoim gromadzkim imperjaliźmie, nie chcą znieść obok siebie żadnych autonomicznych zespoleń społecznych, a przedewszystkiem godzą w rodzinę; to nietylko komunizm

ale i rasizm otwarcie podporządkowuje związek rodzinny związkowi młodzieży, względnie męskiemu *(Männerbund)*. Oba pretendują do całego życia jednostki, od dziecka począwszy, zatrudniając ją udziałem w tysiącznych akcjach społecznych, klubach, zgromadzeniach, tłumnych igrzyskach i manifestacjach, nie dając jej czasu na życie intymniejsze, ustronniejsze, samotniejsze, wewnętrzniejsze, serdeczniejsze i niezależniejsze — co nieuchronnie prowadzić musi do spłycenia charakterów i umysłów. Nie potrzeba zresztą światopoglądu „rasowego", ażeby ta tendencja, aby człowieka nie zostawić nigdy samemu sobie, zapanowała w państwie: stosuje ją np. faszyzm włoski, (który jest ideą polityczną i metodą wychowania narodu, ale nie filozofją żadną, co jest jego zaletą), ale ten dla bezpośrednich celów militarnych; stosują ją też wszyscy dyktatorzy, którzy chcą mieć ludzi na oku, razem zebranych i zabawionych rozmaitemi *circenses*. Zresztą, wracając do komunizmu i rasizmu, to owa tendencja zupełnego opanowania człowieka przez społeczność, *scilicet* państwo, jest w komunizmie o wiele istotniejszą i przeto groźniejszą, niż w rasizmie, u którego jest to raczej postawa bojowa, niż zasadnicza, a to z powodu, że rasizm w granicach czystej rasy, zawiera w sobie ów optymizm, o którym dopiero była mowa. Komunizm, nie wiedząc, dlaczegoby ludzie z natury mieli być zgodliwi, zawsze będzie bał się samotnego człowieka.

Co do komunizmu, osobno go wziąwszy, to, jego tezie o „b e z i m i e n n o ś c i" rozwoju społeczno-kulturalnego i wynikającej stąd niechęci do ideału bohatera, należy przeciwstawić proste doświadczenie życiowe oraz historyczne. W jakiejkolwiek dziedzinie życia i pracy nic wielkiego nie stało się bez jednostek szczególnie i wyjątkowo uzdolnionych, bez genjuszów, bohaterów, proroków, inicjatorów. Żaden tłum się nie zorganizuje do działania, jeśli się w nim nie znajdą przodownicy; giną rasy i narody, którym w chwilach osobliwych zabraknie ludzi naprawdę wyższych nad ogół, ludzi zbawców. A historja kultury coraz częściej wykazuje, iż to, co się wydawało być tworem bezimiennej, gromadzkiej twórczości ludowej — jest recepcją wytworów warstw kulturalnie wyższych, kędy znaczenie jednostki inicjatorskiej jest o wiele większe, niźli w jednolitej ludowej gromadzie. Tego jednak nie chce przyznać uniwersalistyczna teorja „bezimienności". „Indywidualizmem" w tej dziedzinie będzie walka o to, żeby nie stopić jednostki w masie, walka o uznanie jej pierwszeństwa w kulturze, o przyznanie jej czasu swobodnego od zajęć bezpośrednio socjalnie utylitarnych. Indywidualizm przyznaje człowiekowi prawo do kontemplacji, która jest *horrendum* dla kolektywizmu, a w pierwszym rzędzie komunistycznego.

Kolektywizm rasistowski ma lepszą logikę i większe szanse rozwoju indywidualności — ale tylko dla r o d a k a—jest bardziej „poetyczny", niż tamten mechanistyczny materjalizm, ze względu na swoją „wiejskość" i barwny tradycjonalizm, w przeciwieństwie do tamtego, ponurego, koszarowego, uniformistycznego urbanizmu. Nie ulega też żadnej wątpliwońci, że wizja społeczeństwa — narodu, w którym wszyscy ludzie żyją zgodnie i harmonijnie, b o s ą p o d o b n i d o s i e b i e, jak trawy na łące są do siebie podobne, nie jest bez uroku i siły perswazyjnej. Nie może być nudną i szpetną jednostajność tam, gdzie nie od zewnątrz jest nakazana, ale płynie ze swobodnego, bo naturalnego wnętrza. Osobistością staje się tu poniekąd rasa, ale i człowiek nie traci osobistości, bo właśnie w nim jest ta sama, jako jego ostateczna determinacja rasa, co i w jego rodakach. Rośnie się razem w górę, całą rasą, razem się więdnie i niszczeje. Jest tu zadowolenie z podobieństwa przyrodzonego, to samo, które ma rodzina, kiedy mówi o sobie: „jesteśmy wszyscy z pod jednego stempla", a to nie przeszkadza, iżby na tle owej wspólnoty rodowej drobne odchylenia indywidualne *nb. in plus* nie nabierały specjalnego wdzięku. To jest ta przyjemność, jaką mają oficerowie jednego pułku, pokazawszy się razem w takich samych mundurach, co daje im miłą satysfakcję zaznaczenia swego *esprit de corps*, co czyni z nich piękny widok męskiej, przyjacielskiej solidarności, ale co nie przeszkadza temu, żeby na tle tego wspólnego wyglądu, powoli, jako ładna niespodzianka, nie zarysowały się różnice między nimi, ich osobiste natury, gesty, usposobienia, słowem ich indywidualności.

W kulturach o typie arystokratyczno-korporacyjnym, było zawsze więcej swobodnego miejsca dla jednostek nawet ekscentrycznych, dla wszelakich „dziwaków" (dowody w pamiętnikach szlacheckich!), niźli w społeczeństwach liberalno-demokratycznych, albowiem tam poczucie związku społecznego było tak silne, że można sobie było na taką liberalność pozwolić. (Inaczej natomiast u dołu tych społeczeństw, u małomiejskich „łyków", u chłopów, wyjąwszy może chłopów wolnych, górali i t. p., ale to już inne kwestje).

Kolektywizm rasistowski góruje więc z ważnych względów nad komunizmem.

Skoro jednakże idzie o ocenę krytyczną koncepcji rasistowskiej, bez porównywania jej z komunizmem, widok będzie inny; tu należy uwzględnić dwa punkty widzenia: naukowy i moralny. Ze stanowiska pierwszego zarzuci się, że operuje się tu pojęciem rasy „czystej", która jest nieznaną; że porównuje się rasy i wyciąga się z tego porównania tak ważne i decydujące, drastyczne nawet wnioski praktyczne, mimo że porównanie takie nie odpowiada warunkom, wymaganym przez naukę, bo wszelkie porównanie ściśle naukowe przeprowadza się laboratoryjnie, przy uwzględnieniu zasady *ceterus paribus*, a tymczasem rasy, jak je widzimy w historji, działają naogół w r ó ż n y c h warunkach dziejowych i stąd pochodzić może niejedna ich nierówność; że wartość najwyższą przypisuje się wyłącznie rasom „czystym", a tymczasem właśnie jakaś k o r z y s t n a (bo są mieszaniny korzystne i niekorzystne, rozstrzyga tu doświadczenie) — mieszanina rasowa może „poprawić rasę"; że wreszcie (i to jest zarzut najpoważniejszy), psychikę ludzką uważa się za związaną najściślej z cechami fizycznemi t. j. antropologicznemi, co przeczy faktom oczywistym; to zaś jest wynikiem zawziętego naturalizmu i przeto w pewnym, aczkolwiek nie mechanistycznym sensie i materjalizmu tego poglądu na świat. (Tu znowu na zasadzie *„les extrêmes se touchent"* zbliżenie do indywidualizmu skrajnego w typie Stirnerowskim, tylko że indywiduum to jest w tym wypadku gromada rasowa). Ale tu już przejście do krytyki moralistycznej: ubliża człowiekowi, hodowlę jego traktować jak hodowlę zwierząt według cech ściśle fizycznych, musi to być źródłem wielu niesprawiedliwości — i tu jest monstrualność rasizmu. Dla człowieka wartościowszą jest jego dusza niż ciało.

Predestynować jednych ludzi na podstawie ich antropologicznych cech jako napewno dobrych i dlatego przeznaczonych na panów, drugich zaś jako napewno złych na służalców, jest sprzeczne nietylko z faktami, ale sprzeciwia się ideałowi doskonalenia się ludzkiego. Rozwój ludzkości w kierunku, rozpoczętym przez rasizm integralny, musiałby po jakiejś, może nienazbyt wielkiej liczbie wieków doprowadzić do dwóch ras: jednej, podziemnych, potwornych Morloków i „nadludzkich“ Helojów, jak w opowieści Wellsa; wprawdzie można i tak chcieć — ale nigdy o ile się jest chrześcijaninem; *incompatibilia* są tego rodzaju ekskluzywność oraz dobroć chrześcijańska. „Nic nie spychać nigdy w dół, lecz do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie, bo cel światów szlachetnienie...“

Rasizm integralny, będacy swoistym światopoglądem, jest nawskroś, jak się rzekło, naturalistyczny, i tem samem, choć w cokolwiek inny niźli komunizm sposób, materjalistyczny: walkę śmiertelną gatunków ludzkich uznaje za stan między ludźmi tak samo normalny, jakim jest walka gatunków w przyrodzie. Wartość ras ludzkich mierzy się tu siłą okazaną w tej walce, degradując cnoty ludzkie do poziomu zoologicznych. Nie uznaje się tu istnienia ludzkości — aczkolwiek niema dziś plemienia tak odciętego od świata, aby nie korzystało z wytworów zagranicy. Im wyżej zaś postępujemy w kulturze, tem większa jest ilość takich ogólno-ludzkich wytworów, nietylko materjalnych lecz i duchowych, z których codziennie korzystamy — żeby wymienić tylko metody naukowe; ziemia opasana jest niezmiernie gęstą siecią stosunków, których nikt nie uniknie. Nie uznawać ich? Zaprzeczanie prawdy w żywe oczy. Nie chcieć żadnej solidarności duchowej? Szaleństwo, nihilizm i bezbożność...

Nie miejsce tu na rozważania stosunków pomiędzy patrjotyzmem narodowym i humanizmem— oraz na wyliczanie głębokich walorów moralnych i cywilizacyjnych patrjotyzmu narodowego,—podpisany niejednokrotnie to czynił i wróci do tego. Ale idzie o roztropny *modus in rebus*; co do rasizmu zaś uwaga: przez tę krytykę rasizmu integralnego wyliczone poprzednie walory jego nie zostały zanulowane. Jeżeli jednak rasizm i ogólniej jeszcze, eugenizm, mają być ideami pożytecznemi, (a trudno zaprzeczyć zasadniczo słuszności prób rozumnego pokierowania rozrodem ludzkim, przyczem nie należy tracić z oka, nauka o dziedziczności, dziś jeszcze słabo jest rozwinięta, skoro o specyficzne ludzkie t. j. duchowe właściwości idzie!) to muszą one wejść w jakiś kontakt z humanizmem i zwłaszcza jego chrześcijańską postacią; kwestja jest niezmiernie trudna i głęboka; sądzę, że może tu być skuteczną formuła: rasizm nie powinien być światopoglądem, ale tylko empiryczną, przyrodniczą i pedagogiczną metodą, na usługach nietylko polityki, lecz i moralności. W ten sposób indywidualizm częściowo roztopionyby został przez uniwersalizm humanistyczny.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

WZNIOSŁOŚĆ W „PANU TADEUSZU"

W JEDNYM ze swoich najpiękniejszych szkiców literackich [1]) mówi Stanisław Tarnowski: „W tej wielkiej „Pieśni o ziemi naszej", którą śpiewają wszyscy nasi poeci, jest wiele tonów i strof wiele. Raz ta, drugi raz inna strofa zdaje nam się najpiękniejszą... Czasem będzie to ton rzewny, jak żeby sto arf razem towarzyszyło do płaczu, czasem rzeźki i wesół jak nuta mazurka, czasem głuchy jak podziemny odgłos trzęsienia ziemi, czasem uroczysty jak kościelny dzwon, czasem cichy „jak kilka much, co z siatki wyrwie się pajęczej", lub znowu „huk jak stu gromów". Ale wszystkich tych tonów, razem w jeden akord połączonych, nie słyszy się zwykle... Akord pełny, obejmujący wszystkie te tony, od najcichszych do najpotężniejszych, od najsłodszych do przykrych „jak zgrzyt żelaza po szkle“, pieśń zupełna, w której każde z uczuć naszych ma swoją strofę, a w niej wszystkie swoje tony, lutnia doskonała, w której żadnej struny nie braknie, i zarazem obraz, który obejmuje wszystkie strony życia i wszystkie siły duszy, wszystko, co tylko człowiek ma i co kocha, — taki jest tylko jeden: „Pan Tadeusz", i dlatego on trzyma prym w „Pieśni o ziemi naszej".

Te słowa Tarnowskiego są, zapewne, raczej impresją estety aniżeli sądem estetyka. Czy jednak ta impresja nie ostaje się wobec analizy estetycznej?

A nie idzie nam tutaj ani o mistrzowską kompozycję poematu i o zrealizowanie tego jej ideału, który estetyka nazywa jednością w rozmaitości, ani o doskonałą harmonję treści z formą, ani nawet o to, że ten poemat spełnia inny jeszcze ideał sztuki, że, mianowicie, odrywając nas od rzeczywistości, daje nam jednocześnie jej wspaniałą ułudę, a to dzięki swojej plastyce, malowniczości i iście królewskiemu bogactwu środków, wywołujących wrażenia motoryczne, które tak doniosłą rolę wywołują w odczuwaniu piękna. Nie idzie nam i o to, że w poezji epickiej całego świata daremnieby szukać równie doskonałego urzeczywistnienia tego ideału poezji, który Wagner nazwał „*Gefühlswerdung des Verstandes*", — bo przecie cały „Pan Tadeusz", od początku do końca, przy całym swoim spokoju epickim, jest przesiąknięty własnem uczuciem poety, zabarwiającem i ogrzewającem przedmiotową prawdę nietylko ważnych albo i wielkich zdarzeń w życiu czyto jednostki, czy całego jednego narodu, ale nawet drobnych szczegółów szarego, pospolitego życia.

Otóż, nie mówiąc o tem wszystkiem, pytamy: który inny utwór poezji polskiej budzi w duszy tak różnorodne wrażenia estetyczne, jak „Pan Tadeusz", czyli, co na jedno wychodzi, gdzie indziej jest taka obfitość i różnorodność postaci piękna? Stanowcza przewaga piękna radości życia nie wyklucza tu piękna jego smutku; tak zwana charakterystyczność, której artystycznem wcieleniem jest prawie cały świat szlachecki, nie wyłącza właściwej piękności, jaką tchnie np. postać Zosi i niektóre opisy

[1]) „Adam Mickiewicz, życie i dzieła, zarys biograficzny". Petersburg (właściwie: Kraków, 1898), s. 71 — 72.

pogodnej natury; od typowości Sędziego, Podkomorzego, ogółu szlachty zaściankowej odbija się tem silniej potężna indywidualność Jacka i oryginalność Gerwazego czy Maćka; wdzięk przeplata się ze wzniosłością; komizm postaci i sytuacyj ustępuje niekiedy miejsca ich powadze, albo i tragizmowi; pogodny humor poety, kochającego życie i patrzącego na ludzi to z wesołym śmiechem, to z pobłażliwym uśmiechem, nie zabija poważnego humoru mędrca.

I możnaby tak jeszcze długo wyszczególniać różnorodne postaci piękna, tem dłużej, że jest ich z pewnością dużo więcej, niż tych, które wymienia estetyka poezji. Nasza wciąż jeszcze bardzo uboga krytyka estetyczna mało się dotychczas zajmowałą analizą i charakterystyką piękna w „Panu Tadeuszu", poprzestając prawie wyłącznie na sądach, często trafnych, a nawet i subtelnych, ale będących raczej owocem bezpośrednich wrażeń, aniżeli ich przemyślenia. Wspaniała rozprawa Stanisława Witkiewicza „Mickiewicz jako kolorysta", znakomite studjum Tretiaka „Obrazy nieba i ziemi w „Panu Tadenszu", śliczny szkic Kazimiery Iłłakowiczówny „Serce poety w „Panu Tadeuszu", należą do wyjątków. O jednej z najistotniejszych cech poematu, którą jest humor, pisano niemało, ale o innych postaciach piękna — bardzo mało, albo i nic, nie wyłączając tej postaci, bez której w Polsce ogół społeczeństwa doniedawna jeszcze nie rozumiał i nie uznawał, a niektórzy, zwłaszcza starsi, wychowani w kulcie poezji romantycznej, do dziś dnia nie uznają wielkiej poezji. Tą postacią piękna jest wzniosłość. Jakże znamienną jest rzeczą, że mówiło się i wciąż jeszcze mówi tylko o trzech wielkich poetach epoki romantyzmu, a czwartego wielkiego: Fredry, nie nazywało się i jeszcze nie nazywa wielkim! Dlaczego? Bo w komedjach niema wzniosłości, albo przynajmniej jest jej bardzo mało. Wielkim poetą nazywa się Wyspiańskiego. Czemu? Dlatego przedewszystkiem, że w jego poezji jest wzniosłość.

I oto, w roku jubileuszowym „Pana Tadeusza", warto się zastanowić, co jest w nim wzniosłego.

I

Tylko nasamprzód — co to jest wzniosłość? Odpowiedź, choćby krótka, jest konieczna, albowiem w naszej mowie potocznej nie wszyscy przywiązują do tego wyrazu jedno znaczenie; co więcej, nasza mowa potoczna niezawsze tu jest zgodna z terminologją estetyczną. Tę zaś terminologję przejęliśmy od obcych — głównie od Niemców.

Grecy nazywali wzniosłość wysokością: ten znakomity traktat, który jest w nauce europejskiej pierwszem studjum o wzniosłości, a przypisywany myślicielowi III wieku po Chrystusie, Longinowi, ma tytuł „*Peri hypsus*" — „O wysokości" [2]) Rzymianie jednak nazywali wzniosłość nie wysokością, tylko wyniosłością — *sublimitas*: Plinjusz mówi o „wyniosłości platońskiej", Kwintyljan — o „wyniosłości pieśni bohaterskiej". Ten to termin przejęli od Rzymian Francuzi (*sublimité*), Włosi (*sublimità*) i Anglicy (*sublimity*). Niemcy utworzyli wyraz rodowity, do dziś dnia obowiązujący w terminologji estetycznej: *Erhabenheit*.

A my? W wieku XVIII, pomimo że w tem właśnie stuleciu urodziła się w Europie zachodniej estetyka naukowa, u nas terminologja estetyczna była jeszcze w stanie niemowlęctwa [3]) i nie miała wyrazu, któryby dokładnie oznaczał pojęcie wzniosłości. W wieku XIX, w epoce pseudoklasycyzmu, prawodawca „dobrego smaku", Stanisław Potocki, nazywał styl Demostenesa nie wzniosłym, tylko „wyniosłym", „gwałtownym", pełnym „zachwycenia". Stary Adam Czartoryski mówi już o „myślach, słowach i uczuciach górnych", o „stylu górnym", a Naruszewicza nazywa „poetą szczytnym". W niepospolitej na swój czas „Teorji smaku w dziełach sztuk pięknych" Euzebjusza Słowackiego, który się opierał już na estetyce niemieckiej, mamy cały jeden paragraf „O uczuciu wielkości i górności", którą autor — po raz pierwszy w Polsce — odróżnia od właściwego piękna. Filomata Józef Kowalewski zatytułował swój przekład owego traktatu greckiego nie „O wzniosłości", tylko „O górności".

Termin „wzniosłość" wprowadził do estetyki polskiej bodaj czy nie dopiero Brodziński, tłumacząc tak termin niemiecki *Erhabenheit* — nasamprzód (1825) w przekładzie rozprawy Kanta „Uwagi o piękności i wzniosłości", a potem (1834) we własnej rozprawie „Piękność i wzniosłość". Zresztą już w wykładach uniwersyteckich posługiwał się tym terminem, który ostatecznie uświęcił u nas Kremer w swoich „Wstępnych zasadach estetyki" (czyli w tomie pierwszym „Listów z Krakowa", r. 1843).

Jedyne, jak dotychczas, studjum specjalne o tej postaci piękna w poezji nosi tytuł: „Wzniosłość u Słowackiego". Autorem jest Ignacy Matuszewski, pierwszy nasz wybitny krytyk, który nie poprzestawał na wyspowiadaniu swoich własnych, różnorodnych wrażeń estetycznych, ale nadto badał ich psychologję i określał ich znamiona.

Otóż polska mowa potoczna do dziś dnia pojmuje termin estetyczny „wzniosłość" i nieściśle i ciasno. Nieściśle, bo nieraz miesza „wzniosłość" z „podniosłością". Kiedy mówimy np: „wzniosły czyn", to najczęściej mamy na myśli jego wartość etyczną, a nie estetyczną. Ściśle biorąc, powinniśmy mówić: „czyn podniosły", co zresztą nie przeszkadza, że wszystko, co jest naprawdę etycznie podniosłem, może być estetycznie wzniosłem, ale mniejsza o to.

Ważniejszą jest rzeczą, że czyn, nie będąc etycznie podniosłym, co więcej, będąc niemoralnym, a nawet zbrodniczym, może być estetycznie wzniosłym — oczywiście tylko w sztuce, bo w życiu każdy czyn zbrodniczy (albo, dajmy na to, obrzydliwy) nie może wywołać wrażenia estetycznego w duszy człowieka — przynajmniej człowieka, nie wyzutego z poczucia moralności. Ale w sztuce — np. w malarstwie, a nadewszystko w poezji — może, bo przecie prawdziwa sztuka jest nie kopją, nie odtworzeniem rzeczywistości, tylko jej przetworzeniem — takiem, że, dajac nam jej złudzenie, jednocześnie odrywa nas od niej i dzięki temu daje nam niepamięć nieestetycznej rzeczywistości. Tak np. — w życiu — planowanie przez zbrod-

---

[2]) Że ten termin tylko częściowo odpowiada temu, co dzisiaj nazywamy wzniosłością, o tem ob. George Saintsbury, „*A History of Criticism and Literary Taste of Europe*", t. I, s. 152 nast.

[3]) Ob. Stanisław Dobrzycki: „Notatki do dziejów języka polskiego literackiego", II, „Z dziejów języka krytyki literackiej polskiej" (Prace filologiczne. Tom VII).

niarzy morderstwa śpiącego człowieka, a cóż dopiero wykonanie tego planu, jest rzeczą nietylko straszliwą, ale okropną, potworną; ale — w poezji Szekspira, w drugim akcie „Makbeta" — jest rzeczą estetycznie wzniosłą. Albo jeszcze. W powieści Choromańskiego „Zazdrość i medycyna" opis operacji Rebeki Widmarowej jest okropny, a może nawet obrzydliwy: tak, ale z opisu tej operacji autor umiał wydobyć, jak to słusznie powiedziano[4]), „coś znacznie więcej, niż opisowość", bo wielką, niemal fantastyczną biegłość i nieprawdopodobną przytomność umysłu chirurga Tamtena i szaloną szybkość długiej operacji, nie mówiąc już o jej grozie.

„Artystycznem okiełznaniem okropności" nazwał Nietzsche wzniosłość w sztuce; miał słuszność o tyle, że wszystko wogóle, co artysta ujął w kształt artystyczny, może wywołać wrażenie estetyczne. Z tem wszystkiem ta definicja jest bardzo jednostronna, a nawet rozpaczliwie ciasna. Bo czyż wrażenie wzniosłości płynie tylko z artystycznego okiełznania okropności? Czy np. poświęcenia życia dla wiary albo dla ojczyzny nie nazwiemy wzniosłością? A cóż dopiero powiedzieć o Golgocie? Czy można sobie wyobrazić coś bardziej nadludzko wzniosłego nad poświęcenie i dobrowolną mękę Boga-człowieka dla zbawienia ludzkości? I czy trzeba przypominać, że dla Kanta dwie rzeczy były najwznioślejsze ze wszystkich: widok nieba gwiaździstego nad głową człowieka i głos nakazu moralnego w jego sercu? To wszystko — w życiu.

A w sztuce? Nie przecząc, że wzniosły jest i Orestes, mordujący rodzoną matkę, i Prometeusz, bluźniący Zeusowi, i *lady* Makbet, i jej młodsza siostra Balladyna, pytamy: czy nie są postaciami wzniosłemi: i król Edyp w Kolonie, i Antygona, i Książę Niezłomny, i Faust w drugiej części tragedji, i Roza Weneda, i Lilla Weneda, i Chilon od chwili, kiedy, widząc mękę Glauka, przejrzał i uwierzył w Chrystusa?

Jakże teraz wybrnąć z trudności tego zagadnienia? Będzie to rzeczą łatwą, ale pod jednym warunkiem: trzeba znaczenie wyrazu „podniosłość" ograniczyć jedynie do wartości moralnych, znaczenie zaś terminu „wzniosłość" rozszerzyć, oznaczając nim to swoiste uczucie estetyczne, które w duszy ludzkiej rodzi wszelka wogóle wielkość ponad zwykłą miarę, bez względu na to, czy w życiu jest moralna czy niemoralna, dobroczynna, czy złowroga, podniosła czy nikczemna, pogodna czy okropna, cicha czy „huczna", łagodna czy „rozhukana", jakby powiedział Juljusz Słowacki, to znaczy ten poeta, któremu bogactwem różnych rodzajów wzniosłości nie dorównał u nas nikt, nie wyłączając Mickiewicza.

„Uczucie górności" — mówi Euzebjusz Słowacki — „jest to uczucie, które nas w nadzwyczajne wprawia podziwienie, które nas zachwyca i odmienia gwałtownie stan duszy; różni się to uczucie od uczucia piękności, to albowiem jest spokojne i słodkie, tamto mocne, burzliwe i głębokie; czem jest wesoły i zielonością okryty pagórek do czarnej i piorunami pooranej skały, tem jest piękność w stosunku do górności"[5]).

[4]) St. Piasecki: „Prosto z mostu". Warszawa, 1934, s. 60.

[5]) „Dzieła". Tom I. Wilno, 1824, str. 68.

Nowoczesna estetyka psychologiczna ma właśnie to jeszcze do dodania, że źródłem przedmiotowem uczucia „górności" jest wielkość i że to uczucie, będąc istotnie zawsze „mocnem" i „głębokiem", może nie być „burzliwem", bo przecie nie każda wielkość, nie każdy „zachwyt" i nie każde „nadzwyczajne podziwienie" musi być gwałtowną burzą: przeciwnie — może być wspaniałą, błogosławioną ciszą serca. Tak, mylą się ci, co, jak Matuszewski, za nieodzowny warunek uczucia wzniosłości poczytują przymieszkę, i to mocną, pewnej przykrości, ostrości, niepokoju, bólu: zapewne, w niektórych rodzajach wzniosłości ta przymieszka jest, np. w „Makbecie" albo w „Ojcu zadżumionych; a jeżeli obydwa te utwory dają nam zadowolenie estetyczne, to dlatego, że jest w nich „artystyczne okiełznanie" tych przykrych uczuć, jest „ulga", żeby się posłużyć terminem Arystotelesa, zastosowanym do tragizmu, którego bez wielkości i, co za tem idzie, bez wzniosłości niema. Otóż są — zarówno w naturze, jak w sztuce — zjawiska, dające wrażenie wzniosłości bez przymieszki uczuć przykrych, jak oto: widok gwiaździstego nieba, spokojnej powierzchni bezkresnego morza albo pogodnego wschodu słońca; a czy taka np. „Madonna Sykstyńska" Rafaela, której nikt chyba nie odmówi wzniosłości, wywołuje jakiekolwiek przykre uczucie, któreby wymagało „ulgi"? Chyba, że kto powie, iż każda wogóle wielkość przygnębia człowieka, bo się wobec niej czuje prochem, to jednak uczucie jest uczuciem wtórnem, płynącem nietyle z bezpośredniego wrażenia estetycznego, ile ze świadomego albo napół świadomego rozmyślania nad własną małością. Co więcej, nawet w tem przygnębieniu jest jakaś rozkosz duchowa — właśnie na widok wielkości czy to w świecie rzeczywistym, czy też w „rajskiej dziedzinie ułudy".

W twórczości Mickiewicza wzniosłość jest w młodzieńczej „Odzie do młodości". A później wzniosły jest i Gustaw w ogromie swojej miłości i swojej rozpaczy, i swego uspokojenia, i Konrad Wallenrod w ogromie swego poświęcenia dla ojczyzny, i swojej męki duchowej, i w majestacie swojej samobójczej śmierci; wzniosłe są niektóre „Sonety Krymskie" w swoim przepychu; wzniosły „jest „Farys" w swoim szalonym pędzie. A cóż dopiero powiedzieć o Konradzie-Prometeuszu w jego walce z Bogiem i o księdzu Piotrze w ogromie jego pokory! Wzniosłą jest opowieść Sobolewskiego o kibitkach, której groza jest okiełznana nietylko końcową modlitwą do Boga, ale i majestatycznym spokojem całej opowieści. Wzniosłem jest zakończenie „Przeglądu wojska" w wielkości cierpienia i psiego posłuszeństwa biednego chłopa rosyjskiego i w ogromie współczucia poety. Wzniosłą jest „Rozmowa wieczorna" w przepastnej głębi uczucia religijnego i w majestacie rozmodlonej duszy.

To wszystko — przed „Panem Tadeuszem". Jednego tylko tam niema: wzniosłości okropnej, takiej np., jaka jest w pierwszej scenie „Beatrix Cenci", gdzie córka kąsa rodzonego ojca, kiedy się ten targa na jej dziewictwo, albo takiej, jaka jest w postaci Popiela w pierwszym rapsodzie „Króla Ducha".

(D. c. n.) IGNACY CHRZANOWSKI

NA WIDOWNI

„Tygodnik Ilustrowany“ przeciwko Jedlnu. — Sprawa honorowa z Zawiszą. — Król Jagiełło i polskie społeczeństwo. — Fałszywe kryterjum historyczne.

UWAGI moje o „zapomnianej rocznicy” przywileju jedlneńskiego, zamieszczone w „Myśli Narodowej” z dn. 30 czerwca r. b., wywołały wyjątkowo charakterystyczną replikę na łamach sanacyjnego „Tygodnika Ilustrowanego” (nr. 27 z dn. 8 b. m.). Z irytacją, dosyć niezrozumiałą przy ocenie wydarzeń z przed lat zgórą pięciuset, niepodpisany autor zdenerwowanym tonem wypowiada opinję, iż wprowadzenie zasady „*neminem captivabimus*” bynajmniej nie zasługuje na jakąś wdzięczną pamięć ze strony potomnych, a „wielbiony przez p. Rembielińskiego przywilej był zwykłym s z a n t a ż e m, dokonanym na osobie znużonego już władzą i borykaniem się o silną władzę, króla, był ponadto usankcjonowaniem zasady elekcyjności”. Ten wyraz „szantaż” wydaje się pisarzowi najodpowiedniej dobrany dla wprowadzenia czytelnika w atmosferę moralną, w jakiej dokonywała się przebudowa ustroju Polski u progu wielkiej epoki jagiellońskiej. Wciąż w podrażnieniu, powtarza o kilka zdań dalej: „Jedlno oznacza zatem s z a n t a ż szlachty na królu i poderwanie s i l n e j w ł a d z y królewskiej”...

Coprawda narody Zachodniej Europy zwykły z pietyzmem przechowywać wspomnienia takich naprzykład zdarzeń, jak w r. 1215 wymuszenie przez baronów angielskich wydania Wielkiej Karty Swobód, podkopującej „silną władzę królewską” Jana Bez Ziemi. Coprawda gniew fejletonisty „Tygodnika” winien był raczej zwrócić się przeciwko przywilejowi czerwińskiego (r. 1422), uzyskanemu rzeczywiście przez szlachtę zbrojną, w przeddzień wyprawy wojennej, w obozie; akt jedlneński, wynik obustronnego kompromisu, tych zarzutów ściągać na siebie nie może. W każdym razie jednakże szczęśliwie się składa, że rycerz Zawisza Czarny od tylu wieków odpoczywa snem wiecznym w grobie, gdyby żył bowiem i zechciał upomnieć się o cześć swych towarzyszów broni — „szantażystów”, w zamczysku Gebethnerów zmuszeni byliby odmówić mu satysfakcji honorowej.

Nie o wyrażenia tu wszakże chodzi, ale o sprawę istotniejszą: o fałszywy stosunek do historji własnego narodu i wynikające stąd nałogi myślenia, czy raczej bezmyślności. Współpracownik „Tygodnika” uważa za rzecz oczywistą, rzecz nie wymagającą nawet uzasadnień, tak dalece rozumie się sama przez się, że wzrost znaczenia społeczeństwa w dawnej Polsce, zmuszający do liczenia się z jego zdaniem i wolą — to najstraszniejsze z nieszczęść w naszych dziejach, synonim upadku i rozstroju. Król Jagiełło — czytamy w tejże polemice — „niestety musiał” zgodzić się na przywilej jedlneński, ponieważ „tylko za tę cenę potężni już wówczas „rycerze koronni” wraz z duchowieństwem” gotowi byli zabezpieczyć tron jednemu z jego synów, „którego według własnej fantazji zechcą wybrać”. Ani na chwilę nie pojawiła się w mózgu autora myśl śmiała, że może owi przedstawiciele społeczeństwa (ów stan duchowny i rycerski) nie mniej mieć będą instynktu polskiego, rozumu i politycznego wyrobienia, aniżeli sprowadzony przez nich z Litwy monarcha. Że ostatecznie to nie Jagiełło przybywał do pogrążonej w ciemnocie Polski, by barbarzyński kraj Oleśnickich, Włodkowiców i Zawiszów uczyć dopiero cywilizacji zachodniej, nawrócić na chrześcijaństwo...

Wystarczy przecież wspomnieć zjazd w Łucku (r. 1429), by w całej pełni zdać sobie sprawę z tego, jakiem to szczęściem okazała się dla ówczesnej Polski okoliczność, że ci „rycerze koronni wraz z duchowieństwem” byli już wtedy w dostatecznej mierze „potężni”, by udaremnić błędną zupełnie politykę Jagiełły, przekreślić poczynione przezeń pod naciskiem Witolda i Zygmunta Luksemburczyka ustępstwa.

Trochę zabawnie wygląda również to „święte oburzenie” na elekcyjność tronu w dawnej Polsce, skoro w dzisiejszej stoi się — któżby wątpił?! — na stanowisku ustroju republikańskiego, a więc też prawa wyboru Głowy Państwa „według własnej fantazji“, którego w sposób tak szorstki i wyniosły odmawia się pokoleniu twórców unji horodelskiej i Grunwaldu. Czy więc zło całe—zdaniem „Tygodnika“ — tkwiło być może w tem tylko, że wybór wówczas dokonywał się „według fantazji”... społeczeństwa?

Pisząc o przywileju jedlneńskim wskazywałem, że najcenniejszą wartością jest w nim idea „poszanowania godności ludzkiej“, danie poczucia „bezpieczeństwa, jakie posiada jednostka, przeświadczona, że nie może paść ofiarą samowoli, że ochrania ją puklerz prawa“... Publicysta „Tygodnika Ilustrowanego” nie wypowiada żadnej opinji w tym względzie, poprostu brak mu kryterjów do oceny, co doskonalsze: czy stan, gdy tylko wyrok sądowy orzeka o karaniu obywatela więzieniem, czy też, przeciwnie, stan, kiedy każdy może być zawsze pozbawiony osobistej swobody, nie popełniwszy żadnego, zakazanego kodeksem karnym czynu.

Brak mu kryterjów, ponieważ w przeszłości narodu nie widzi zgoła istoty, ducha cywilizacji, z którymby się moralnie solidaryzował, według którego mógłby określać, co jest z nią zgodne, co sprzeczne. Obywatelski duch dawnej Rzplitej, jej psychiczna jedność i rządność są dla niego czemś całkiem niepojętem, czemś, poprostu, przekraczającem pojemność wyobraźni. Do oceny tysiącletniego dziedzictwa Polski przystępuje z jedną tylko ideą, jedyną, zawsze obowiązującą miarą: dobre jest to, co utrzymuje „silną władzę“, żadnemi przepisami prawnemi nie skrępowaną, wszystko zaś inne prowadzi do rozkładu, do katastrofy... Tego jednego nauczył się ze zbyt pobieżnie poznawanych historyków szkoły krakowskiej, no i — rzecz prosta—z publicystyki „państwowościowej“ doby dzisiejszej...

Według tego mniemania jednakże upadek dawnej Polski rozpoczynałby się wcześnie, bo już od zjazdu łęczyckiego w r. 1180, który to pogląd polemiście z „Tygodnika“ tembardziej powinienby przypaść do smaku, że ów monarcha, który prawa w Łęczycy ustanawiał, otrzymał od swoich współczesnych, tak podejrzany, tak kompromitujący wprost ze stanowiska idei „silnej władzy“ przydomek: Kazimierz... Sprawiedliwy...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ŻYCIE PUBLICZNE W POLSCE, jak na poświęconym kamieniu węgielnym, wspiera się na ustalonej od szeregu lat podstawie braku zaufania. Braku zaufania rządzących do rządzonych, państwa do obywatela, prawodawcy do prawa, wtajemniczonych do niewtajemniczonych. Ten stan rzeczy rozumiany jest dziś, jako panowanie ładu i porządku... Nie określiły się jeszcze wyraźnie wartości, jakie wniesie w życie młode pokolenie, ale napewno nie będą to wartości, przyczyniające się do utrzymania tego uświęconego *status quo*. Struktura życia politycznego oprze się na innych zasadach. W szczególności już dziś wiadomo, że młode pokolenie, które w przyszłości zmieni organizację polityczną Polski, wniesie wraz ze swem wystąpieniem na widownię publiczną czynnik zaufania, jakiego dawniejsze pokolenie w takiej postaci nie znało. Będzie to skutkiem większej jedności duchowej zespołu działaczy, wzrosłych w atmosferze wspólnej walki, znających się od lat młodzieńczych, zżytych ze sobą w przyjaźni i wzajemnym szacunku, wypróbowanych w zaufaniu do siebie, bez względu na ciaśniejsze kryterja partyjne. Prowadzona dziś tak intensywnie przez „sanację" praca nad rozbijaniem narodu napewno nie rozbije jedności duchowej tego pokolenia: rychło już pomyli ono te rachuby i wykaże swoje odrębne walory moralne, nadając nowy ton politycznemu życiu. Wróżyć to można z pewnością, znając wymienione głębokie przyczyny jego większej ideowej strojności. Dzięki niej zdolne ono będzie położyć kres obecnemu rozstrojowi i zaprowadzić w ojczyźnie normalniejszy stan rzeczy... Zakładem tego lepszego jutra jest właśnie donioślejszy w polityce od wszelkich sztucznych mechanizmów czynnik wychowania w klimacie ideowej wspólnoty. Tak nienormalne skądinąd warunki życia w powojennej Polsce nie zniweczyły jednak tego, że całe młode pokolenie wspólną ma myśl narodową i poczuwa się do hartownej jedności: „wspólnie żyjący, wzrośli wraz"...

Zdając sobie sprawę z tego, jak wielką rolę przy normalizacji stosunków politycznych w Polsce odegra ten szeroki front ludzi, złączonych mocno przyjaźnią i wzajemnem zaufaniem, uświadamiamy sobie wyraźnie, że dzisiaj jeszcze żyjemy w dobie najokrutniejszego rozstroju pojęć o tem, co w życiu narodu normalne. Doba ta wystawia młode pokolenie na próbę, w której kapitał jego walorów moralnych niechybnie musi się zwiększyć. Istniejące węzły przyjaźni i szacunku utrwalić się muszą z natury rzeczy jeszcze silniej. I gdy niejedeni z tego koleżeńskiego koła izolowani są w tej chwili od pozostałych, to ci ostatni myśleć o nich muszą z jeszcze większym szacunkiem, jeszcze wytrwalszem uczuciem przyjaźni i pewniejszem zaufaniem moralnem. Taki być musi naturalny skutek prób, na które młode pokolenie jest dzisiaj narażone. Forsownie scementują one jedność w narodzie, tak kunsztownie i brutalnie dziś rozbijaną.

NAUKA i LITERATURA

„BIALI i CZARNI"

UKAZAŁA się świeżo rzecz bardzo interesująca, w pewnym sensie niezwykła. Mamy na myśli książkę Jerzego Giżyckiego p. t. „Biali i Czarni" (nakład Gebethnera i Wolffa, str. 360 z 16 fotografjami i mapką orjentacyjną w tekście). Są to, jak mówi podtytuł, kolonjalne fragmenty, rodzaj reportażu - pamiętnika, nie dającego się jednak podciągnąć ściśle pod żadną ustaloną formę literacką. Na tem też m. in. polega i oryginalność dzieła, które jest zresztą debiutem autora.

W omawianej pracy uderza przedewszystkiem postawa psychiczna pisarza. Wyraża się ona w pewnym stopniu już na samem wstępie. „Jak można dusić się tak długo w cieniu dachów? Czemu pozostajesz w zadymionem więzieniu miast?" Oto *motto* książki, wzięte z listu św. Hieronima Pustelnika do przyjaciela.

Wbrew pewnym pozorom, do których zaliczyłbym i symboliczną treść okładki, zasadnicza postawa autora, to jednak postawa globirottera i poszukiwacza przygód. Takim jest zresztą Giżycki w rzeczywistości. Losy, a przedewszystkiem instynkt włóczęgi rzucały go po szerokim świecie. W jednej z krytyk napisano, że gdyby autor żył w XV wieku, zostałby niewątpliwie konkurentem Kolumba. Z samej jednak tylko — sądzimy — ciekawości nieznanego, bez dalszych ubocznych motywów. W gruncie rzeczy wyczuwa się w książce skrajnego indywidualistę i stąd wypływa ten charakterystyczny objektywizm, emocjonalny spokój, z jakim autor opisuje swoje spostrzeżenia.

Piszemy o tem umyślnie obszerniej, ponieważ część krytyki poszła po niekoniecznie trafnej drodze. Reformatorstwo społeczne, cała socjalna strona problemu „białych i czarnych" są to rzeczy właściwie bardzo dalekie autorowi, u którego apostolskich motywów humanitaryzmu naprawdę trudno się doszukać. Beznamiętna obserwacja, wprawdzie wysoce krytyczna, ale w źródłach swego krytycyzmu wolna od natchnienia moralno-socjalnej natury, oto — zdaniem naszem — zasadniczy ton książki. Stanowi ona niewątpliwie bardzo cenny materjał informacyjny.

Tak więc Giżycki, na tle swojego pamiętnika-reportażu, to jednak tylko raczej mimowolny obrońca uciśnionych czarnych ludzi. Na plan pierwszy wysuwa się postawa podróżnika, szukającego wyżycia się indywidualnego.

Jak pogodzić to stanowisko psychiczne autora z treścią książki, która poświęcona jest opisowości czysto zewnętrznej i to, w ogromnej większości wypadków, w odniesieniu właśnie do zjawisk społecznych? Tak zwane opisy przyrody i refleksje filozoficzne należą przecież w książce do rzadkości, podobnie zresztą jak niewiele jest również opowieści myśliwskich, zdawałoby się bezwzględnie obowiązkowych we wszelkich afrykańskich historjach. Zdaniem, naszem da się to logicznie wytłumaczyć.

Autor spędził w Afryce francuskiej lat blisko sześć. Tem samem perspektywa „tematu" ułożyła się odpowiednio. Z natury rzeczy wysunęły się zagadnienia syntetyczne, odpowiadające długotrwałości obserwacyj i wrażeń, a więc zagadnienia społeczne, sprawy białego i czarnego człowieka w Afryce. „Przygody" dojrzałego mężczyzny, jakim jest autor niewątpliwie, niekoniecznie szukać trzeba w ekstrawagancjach myśliwskich czy innych. Wyrażać się może ona właśnie w ciekawości świata wogóle, a świata społecznego w szczególności.

Pozatem nie zapominajmy, że Giżycki był oficjalnym funkcjonarjuszem Francji, jako operator filmowy, który przygotowywał potrzebne materjały na wystawę kolonjalną w Paryżu. Kilka lat służby administracyjnej, aczkolwiek specjalnego charakteru, zmuszało go do ciągłego obracania się w orbicie zagadnień administracji kolonjalnej. Było to niewątpliwie

wdzięczne pole dla obserwacji i krytyki. Stąd też sprawy administracji francuskiej w Afryce Zachodniej stanowią centralny temat książki Giżyckiego. Ujmuje go autor oczywiście od strony wrażeń indywidualnych, bez szczypty statystyki czy czegoś podobnego, unikając starannie rozważań techniczno-naukowych.

Obserwacja Giżyckiego jest niewątpliwie krytyczna. Krytyczna przedewszystkiem w stosunku do administracji francuskiej i do Francuzów. Na Giżyckim, który sporo czasu spędził w Ameryce, znać duży wpływ umysłowości anglosaskiej. Stąd rażą go pewne cechy francuskie, stąd te częste porównania z „lepszą" andministracją kolonjalną angielską.

Istotne wszakże źródło krytycyzmu tkwi w samej psychologji autora. Jest to przedewszystkiem człowiek bez blagi. Niewiele jest książek podobnie mało efekciarskich, jak „Biali i Czarni". Następnie, człowiek zdrów i pełen energji, silnej budowy, ów stuprocentowy mężczyzna, nie poddający się nastrojom, tropikalnym czy z innym, zamiłowany w konkretności, celowości i rzetelności. Charakterystyczna jest niechęć autora „do św. Emerytury", jako celu życiowego, tak rozpowszechnionego u Francuzów. Poglądami i gustem przybliża się też niewątpliwie do typu reprezentacyjnego dżentelmena rasy anglosaskiej.

Wynika z powyższego, że książka Gizyckiego, aczkolwiek może być wyzyskana politycznie przez konkurentów Francji w Afryce, żadnych świadomych tendencyj politycznych nie posiada. Wynika również, o czem już wspomnieliśmy, że sprawa położenia murzynów nie była właściwem natchnieniem autora przy malowaniu krytycznego obrazu administracji kolonjalnej Francji. Wogóle mało jest bardzo tak zwanego serca w książce Giżyckiego. Chłodny stosunek do ludzi, niezależnie od koloru skóry, dominuje. Czasami zalatuje nawet nieco mizantropją.

W ten sposób, obracając się w dość niebezpiecznej okolicy, jaką jest dziedzina psychologji autorskiej, wyczerpaliśmy znaczną część naszej recenzji. Tem nie mniej pozostaje nam jeszcze kilka rzeczy do omówienia.

Oryginalność książki polega przedewszystkiem na oryginalności ujęcia. Rodzaj pamiętnika na objektywne, zupełnie nieosobiste tematy — oto nieco paradoksalny charakter dzieła.

Nie ma ono w sobie nic z podręcznika, zbioru „pożytecznych wiadomości" z geografji, botaniki czy historji. Dosłownie nic. Etnografji mało. Jest to przekrój teraźniejszości, zobrazowanej nż podstawie wrażeń osobistych, teraźniejszości świata czysto ludzkiego.

Pomimo przewagi tematów jednego typu, wśród których niemałą rolę odgrywa anegdota, dla rozweselenia jakgdyby tej dość posępnej książki, rzecz daleka jest od jednostajności. Ostatecznie mamy tam potrochu wszystko: i scenę myśliwską i religijne misterjum murzyńskie i próbki „poezji krajowej". To też książkę czyta się jednym tchem, z tem specjalnem zainteresowaniem, jakie daje przekonanie, że się czyta historję prawdziwą.

W rzeczywistości wszystkie występujące osoby są autentyczne, z autentycznemi częściowo nazwiskami. Równocześnie uderza wstrzemięźliwość autora w opisywaniu własnych przygód i różnych niezwykłości, których z reguły czytelnik skontrolować nie jest w stanie. Z uwagi na fakt, że na teren Afryki wprowadził Giżyckiego ponoć Ossendowski, stwierdzić trzeba wybitną odporność ucznia wobec wzorów ustalonych przez mistrza fantazji.

O ile przytoczone przez Giżyckiego fakty nie budzą wątpliwości, o tyle oczywiście niektóre dedukcje autora uznać należy za błędne. Tak ma się rzecz przedewszystkiem, jeśli idzie o zagadnienie akcji misyjnej w Afryce. Wyostrzony wobec bolączek administracji kolonjalnej krytycyzm poszedł po linji uogólnień, zwłaszcza, że autor ocenia, przygodnie zresztą, pewne efekty działalności misyjnej, wyłącznie z punktu widzenia doczesnych potrzeb ludności murzyńskiej.

W generalnej konkluzji, „Biali i Czarni" są książką w pewnym sensie sensacyjną. Daje ona niewątpliwie dużo do myślenia na temat „błogosławionej" roli białego człowieka nietylko w Afryce. Zwłaszcza, że ten biały człowiek skłonny jest w swem samopoczuciu do przesady. Być może, że administracja kolonjalna angielska przewyższa znacznie administrację francuską. Tem nie mniej dedykacja ogólna jednej książki lorda Curzona o polityce brytyjskiej na Dalekim Wschodzie: „Książkę tę poświęcam tym wszystkim, którzy wierzą, że Imperjum Brytyjskie jest po Opatrzności, największym instrumentem dobra na ziemi", stanowi chyba dowód egzaltacji, której anglofil Giżycki napewno również nie podziela. W tym sensie książka Giżyckiego, przez reflcksje do jakich pobudza, jest dziełem nietylko antyfrancuskiem.

Specjalne miejsce należy poświęcić stylowi Giżyckiego i wogóle jego sposobom literackiego opracowania tematu. Uderza tutaj przedewszystkiem prostota stylu i jędrność języka. Język ten, nie pozbawiony suggestywnej obrazowości, jest równocześnie całkowicie potoczny, oszczędny, niekiedy szorstki. Pod tym względem stanowi dziwnie sharmonizowaną całość z treścią tematyczną dzieła.

Nie zapominajmy przytem, że jest to pierwsza książka autora. Rozwój techniki pisarskiej pozwoli autorowi w dalszych — miejmy nadzieję, że zostaną one napisane — książkach na uniknięcie pewnych usterek w sposobie pisania, wyrażających się m. in. w zbyt bezceremonjalnym przechodzeniu (w ramach poszczególnych, za obszernych jakgdyby rozdziałów), od tematu do tematu, od opisu do refleksji, czy też do rozważań ogólniejszych, pośrednio tylko związanych z omawianym faktem lub sytuacją. Pod tym względem rozdziały wstępne i końcowe wydają się najlepsze — środek nieco szwankuje. Być może jednak, że jest to nonszalancja świadoma.

Książka Giżyckiego, taka, jaka jest, wejdzie do polskiej literatury podróżniczej, jako jedna z jej cenniejszych pozycyj. A że jest niepodobna do innych i całkowicie oryginalna ujęciem i stylem — tem lepiej. S. L.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Eugenja Kobylińska-Masiejewska debiutowała przed paroma laty przemiłą powieścią „Utopiona lalka", która, wydana w „prowincjonalnem" Wilnie (u Chomińskiego), nie zwróciła na siebie takiej uwagi, na jaką zasługuje. A tymczasem twórczość p. Kobylińskiej rozwija się i kwitnie coraz piękniej. Kapitalną powieścią są „Kłopoty pani Niuśki", gdzie autorka prawdopodobnie odtwarza własne kłopoty: pani domu, matki podrastającego już chłopaka, a jednocześnie nauczycielki gimnazjalnej. Opowiedziała to wszystko z humorem wielkim, nie szczędząc i satyry, prawda że pogodnej i wytwornej, nigdy zjadliwej. Zwłaszcza sceny ze służącemi: są nader zabawne, tak dzięki doskonałemu podchwytywaniu charakterystycznych cech psychicznych tego „fachu" (tu w zawody iść może autorka z Miłaszewską i Iłłakowiczówną), jak i w doskonałem zużytkowaniu gwary ludowej z okolic Wilna. Gwara ta, częściej dotąd ośmieszana, niż uznawana, obecnie pod piórem poetek wileńskich: Dobaczewskiej i Romer-Ochenkowskiej („Tutejsi") stała się narzędziem do celów artystycznych, wcale nie ustępującem gwarze krakowskiej czy góralskiej, owszem, w dziedzinie lirycznej nawet stosowniejszem.

Prócz powieści oraz studjów pedagogicznych p. Kobylińska uprawia też lirykę. Kilka wydanych tomików („Błękitne piłki", „W cieniu modrzewia", „Jesienna miłość") mają wielką skalę tematów i nastrojów. Tam, gdzie poetka się uśmiecha, daje to lepszy efekt, niż tam, gdzie się smuci i żali. Ironją władać umie w razie potrzeby, więc powinna być świadomą użytku tej broni. To jedna rzecz. A druga, to konieczność zdawania sobie sprawy z odpowiedzialności za wyraz utworu lirycznego: słowo, zwłaszcza za malarską treść słowa. Nie trzeba nadużywać pewnych spowszedniałych już symbolów (łabędzi, smoków), ani nawet słów brzmiących wprawdzie pieściwie, ale blado. Muzycznie dźwięczne wiersze p. Kobylińskiej, w tonie i w treści są nader kapryśne. Gdy kaprys dojdzie do równowagi, artyzm i zawartość treściowa napewno na tem zyska. A drogę taką autorce znaleźć nietrudno. (J. B.).

*

Świeżo wydana „Sprawa Herberta Crumpa" żydowsko-amerykańskiego pisarza Ludwiga Lewisohn'a (Warszawa, 1834, wyd. J. Przeworskiego) należy do licznej kolekcji dzieł zagranicznych, które mogłyby śmiało nie ukazać się w przekładzie polskim. Ponura, ciężkostrawna historja muzyka z niemieckich emigrantów, który dał się wciągnąć w małżeństwo kobiecie dużo starszej od niego, potwornej sekutnicy, maltretującej go, ma być protestem przeciwko zbyt wielkim uprawnieniom i przywilejom społecznym kobiet w Stanach Zjednoczonych. W tym kraju „podła i bezwzględna kobieta może bezkarnie zmarnować życie mężczyźnie, którego jej się udało zwabić, albo zmusić do małżeństwa" — te słowa epilogu są tezą autora. Na ten temat, wzorem najznakomitszych pisarzy amerykańskich, Lewisohn pisze rozprawę społeczną w formie powieści, nie dorównując tylko talentem ani Dreiserowi, ani S. Lewisowi, ani nawet U. Sinclairowi. Ciężkie i rozhisteryzowane powieścidło, którego bohater, biedny „artysta" nie może się zdecydować przez przeszło 300 stron na ukatrupienie okropnego babsztyla, żeby to wreszcie uczynić na samym końcu, ku zadowoleniu czytelników, jest podobno oparte na autentycznej historji, ale mało to nas wszystko razem obchodzi. Sens ideowy trafia w próżnię, bo u nas amerykańskie stosunki nie są aktualne i nie będą nigdy. Forma artystyczna przypomina neurasteniczne, żydowskie piły przereklamowanego b. p. Wassermana i nie może tego wrażenia poprawić nawet ciepła przedmowa Tomasza Manna, znieczulonego, jak wiadomo, na te smaczki w rozmaitych *Pen-Club*'ach. Książka jest napisana przez żyda, wydana przez żyda i przetłumaczona przez żydówkę (p. Ewę Przysuską) — poprawną żydowską polszczyzną. Bardziej wskazany byłby przekład na żargon. (A. M).

*

Bardzo ciekawe rozważania na temat naszego kryzysu rolnego zawiera broszura d-ra Walerjana Zakliki p. t. „Bilans obrotów gotówkowych rolnictwa polskiego" (Lwów, 1933, str. 96). Autor stara się ustalić rozmiar obrotów gotówkowych naszego rolnictwa w ciągu ostatnich lat. Jako zaś postulat praktyczny wysuwa utrzymanie t. zw. cen minimalnych przez ustanowienie monopolu handlu zagranicznego i przez zakup zboża przez państwo po cenach zróżniczkowanych w zależności od miesiąca dokonywanych zakupów. (J. P.)

TEATR

„KLUB KAWALERÓW" W T. NARODOWYM

KIEDYŚ sztukę tę grywało się realistycznie. Uchodziła za komedję obyczajową. Dziś się ją stylizuje i wystawia tak, jakby to była wyssana z palca farsa, czy też zgoła rewjowy *sketch*, parodjujący staroświeckość.

Bałuckiemu bynajmniej nie chodziło o wyszydzenie tiurniury. Dziś na scenie teatru Narodowego najkomiczniejszym elementem widowiska są absurdalnie pogrubione tylne części ciała aktorek. Bałucki przedstawił w swojej komedyjce galerję znanych typów i oryginałów krakowskich, których żywcem sportretował. Dziś patrzymy na jego bohaterów, jak na konwencjonalnych pajaców pozbawionych krwi i kości, wystrzyżonych z papieru: ze starego rocznika „Kolców", czy „Muchy".

Pajace te są bardzo śmieszne, aczkolwiek wcale nie dowcipne. Uśmiechać się na tem widowisku można. Można się nawet bawić. Ale głębiej komedją przejąć się nie podobna. Jest już dzisiaj przeraźliwie naiwna i prymitywna. Wszystko, co było w niej wartością pierwotną—zwietrzało doszczętnie. Nabrała nowych walorów — zupełnie nie przewidywanych przez autora i tylko dzięki nim jest atrakcyjna.

Widowisko wyreżyserował p. Węgierko. Dekorowała scenę p. Węgierkowa. W rolach głównych występują pp. Ćwiklińska, Dulębianka, Sarnecka, Stanisławski, Grabowski, Węgrzyn, Wesołowski, Burzyński, Świerczewska, Roland, Kajzerówna, Janowski i Norski.

ZASTĘPCA

ZMARLI

MARJA CURIE-SKŁODOWSKA

ŚMIERĆ Curie-Skłodowskiej poruszyła cały świat, tak jak swoim czasie cały świat poruszyły jej odkrycia.

Szeroki ogół nie zdaje sobie jednak zazwyczaj sprawy z właściwego znaczenia jej naukowej zasługi. W pojęciu przeciętnego inteligenta rad, to tylko promieniotwórczy pierwiastek, którym się leczy raka.

Tymczasem to ogromny świat, to odsłonięta cała, ogromna karta wiedzy o wszechświecie.

Od czasów Mendelejewa odkrycie nowego pierwiastku było wypadkiem dość częstym i nie byłoby niczem niezwykłem odkrycie jeszcze jednego. Odkrycie litu czy molibdenu, neonu czy ksenonu, nie pchnęło nauki na nowe tory, natomiast odkrycie radu i polonu przez Curie-Skłodowską stanowi epokę w zdobywaniu wszechświata przez myśl ludzką.

Chemik i fizyk XIX stulecia śmiał się z marzeń średniowiecznego alchemika o fabrykacji złota; materja bowiem została podzielona na szereg odrębnych pierwiastków, które raz na zawsze skazane były na pozostawanie sobą. A następnie drugi z kolei podział na obce sobie elementy: na materję i energję. Mendelejew ułożył wprawdzie tablicę i „przepowiedział" nowe pierwiastki na zasadzie tej tablicy, tak jak astronomowie przez obliczenie ruchu gwiazd „przepowiedzieli" Neptuna i inne planety, lecz właśnie słynna „Tablica Mendelejewa" jeszcze bardziej umocniła wiarę w odrębność pierwiastków, w ich „wieczną naturę".

Tymczasem Curie-Skłodowska badając własności promieniotwórcze toru i uranu, odkryte w swoim czasie przez H. Becquerel'a, natrafia na ślady nowych, stokroć potężniej promieniujących pierwiastków—radu i polonu. Potem następuje odkrycie oktynu i szeregu innych. Właśnie szeregu. Pierwiastki te, to już nie są martwe fragmenty materji—one „żyją". Nie tylko promieniują, a więc wydzielają energję „same z siebie" (jakiż przewrót myślowy) lecz i „umierają", czyli po pewnym czasie przestają być sobą, a stają się innym pierwiastkiem, który znowu po „przeżyciu" swego okresu staje się jeszcze innym i tak dalej. Okresy życia jednych są bardzo krótkie, inne żyją miljony lat, a u granic tego szeregu, leży ciężki, szary martwy (na pozór) ołów.

Uchylała tę zasłonę Curie-Skłodowska przez długie lata w brudnej zimnej szopie, pracowała tam nawet bez wyciągu, chroniącego płuca od trujących wyziewów. Nie była to przeciętna praca chemiczna śród lekkich próbówek i lśniących kolb. Dla zdobycia śladów nowych pierwiastków trzeba było przerabiać tonny odpadków. Więc wielkie kotły i wieczny brud i ciężka praca fizyczna. Później przyszły lepsze lata, dobre warunki materjalne, sztab pomocników i sława. Lecz oto umiera Piotr Curie i Marja Curie-Skłodowska musi objąć jego katedrę, nie porzucając kierownictwa nad pracownią — więc zdwojona praca. A pamiętajmy, że była to kobieta, że miała dzieci, które sama wychowała, jeszcze jeden obowiązek, który normalnie pochłania cały czas i wszystkie myśli.

Zmarła mając lat 67. Ostatnie tygodnie spędziła w klinice, lecz i tu na łożu śmierci nie przestała pracować, do ostatniego dnia interesowała się życiem laboratorjum, kierowała niem do ostatka za pośrednictwem asystentów.

Padła na posterunku—to nie metafora. Promienie radu niszczą żywą tkankę, dziś wiadomo o tem, lecz nie wówczas gdy, jak sama pisze we wspomnieniach o Piotrze Curie, razem z mężem pracowała w szopie zamienionej na pracownię. Stojące na półkach preparaty świeciły, a w tych promieniach niczem nie chronieni oboje stale przebywali i byli powolnie zatruwani.

Już nie żyje, lecz każde niemal państwo ma instytut radjologiczny i setki młodych mózgów kroczy drogą wskazaną przez Marję Curie-Skłodowską — odkrywa dalej nowe światy.

H.

OFENSYWA

I. ŻYDY U SZKOTÓW

Instytucja tych *Pen-Club*'ów jeszcze trwa. I jeszcze raz na rok zjeżdża się to tu, to tam wraz z kilkoma pisarskimi asami (wychodzącymi z mody) tabun, tłuka, ciżba, czereda podśmieciuchów z przerozmaitych najegzotyczniejszych krajów i plemion i uchwala jakieś „mocje", obowiązujące Europę. Rej wiodą oczywiście Angliki i stare, nudzące się babska angielskie, prym dzierżą żydłaki ze wszystkich ze możliwych i niemożliwych nacyj, z Albańczykami i kucowałachami włącznie. I zawsze ten kudłaty, brodaty, pyskaty *Excrémieux* z Paryża i zawsze rozwrzeszczany, zapluty, zaharkany, kliniczny *Immer Toller*. Co zaś właściwie jedyny tam wybitny pisarz, podstarzały Wells korzysta na przezesowaniu tym błazeńskim zlotom, niewiadomo; musi być chyba korzyść spora, skoro decyduje się rok rocznie tyle dni spędzać z taką międzynarodową *passons le mot:—bagage.*

W tym roku Olimpjada gryzipiorków i pissoirów III-ej gildji miała miejsce w Szkocji, w Edynburgu, co dało kilku grzybiejącym dziewicom preteksty do przewlekłych korespondecyj w „Poranniaku", w „Expressiaku" i t. p. Popisywała się tam w Szkocji jedna z najantypatyczniejszych międzynarodowych, utalentowanych kanalij, to jest słynny Kohn („Emil Ludwig"). Że też tej szelmy nie potrafiły ubić przed ucieczką zbiry jakiejś *Gau*-szwabskiej, a że natomiast trzymają i męczą gdzieś tam biednego Ossietzky'ego to niech im sam szatan przebaczy. My: nie! Kanalja Kohn (Emil Ludwig) domagał się, „żeby nie było wojny", żeby skasowano wojska. Kubeł wylany na „łeb genjalny" tej kanalji byłby odpowiedzią najtaktowniejszą. Poczem niechby sobie zapanował i „pokój wieczysty".

Boleściwy i kwiczący Toller domagał się znów, żeby Europa zajęła się wypędzonymi z Niemiec znakomitymi parszywcami i dała im dożywocie. Pełny kubeł wylany z galerji spokojnie na natchniony łeb tego mówcy byłby najwłaściwszą reakcja zebranej gawiedzi. Najniepotrzebniej wdał się w dyskusję z tem rozbuchanem, roz-pen-tanem Ghettem sędziwy a niesfatygowany jeszcze saltymbank z Rzymu sam Ultramari-Netti. Właściwie powinien był stanąć na estradzie, odwrócić się tyłem i... strzelić na widownię na wiwatek, żeby dym osnuł całą salę i wszystkie Szkotki zaczęły kichać.

Suteryny literackie najadły się potem dobrych smakołyków, były w kilku pałacach, rozmawiały z duszessą of Montrose, przyczem jeden liryk (macedoński) buchnął dwie serwety, a najsłynniejszy powieściopisarz z Ekwadoru ściągnął stary lichtarz, myśląc, że to z XII-go wieku. Ogólna uchwała Zjazdu Pennisów i Pentaczek brzmiała, że konieczną jest wolność książki. Kilka sztuk zastrzegło swoje *votum separatum*, poczem poszło, zataczając się, do ogrodu. Oklaskom nie było wogóle końca. Po pyskach pobiły się tylko dwie pary: Afganiec z Etjopem i Abbisyn z Łotyszem.

Dobrze się stało, że się trochę tanim kosztem przewietrzyli i łyknęli innego powietrza Nałkowska i Parandowski, ale poco potem zdawać sprawę „rodakom" (i „kolegom, przykutym nędzą do katorgi") z tego, co tam znowu breszyły rożne takie obskurne żydłaki?... My tego nie ciekawi, ani *misera plebs contribuens.*

II. RANDKA Z HARANDKĄ

W Warszawie była na gościnnych występach ta przezabawna wiedeneczka, pulchna i słodka, Irena Harand, słomiana wdowa po kapitanie, awanturująca się i afiszująca w Wiedniu z judofilstwem, wydająca tam jakieś pisemko, przemawiająca na wiecach, wogóle typowa *„süsses Mädel"* w nieco starszym wieku, której lekarz przepisał więcej „ruchu" na schudnięcie. No i pulpecik się rusza, gada, pisze, jest okropnie sławny i zabawny. Była w Warszawie z odczytem i w Łodzi. Kto ją zaprosił? Oczywiście, każdyby myślał, że pani Djana Eiger lub Paula Appenszlak. Nigdy w świecie. Harandkę na randkę zaprosił stary ale jary uwodziciel z XIX wieku, niezmożony mecenas Łyk Pacewicz i *hic mulier* Zofja Szelągowska. Rozkoszna Kociątko z tuszy Mae West przypominające, paplało to i owo, potem pojechało do Hulki do Żyrardowa, a z Żyrardowa wyjechało wogóle zachwycone. Tylko potem o tem nieco nablagowało. Pisząc o Goebbelsie w Warszawie, puściło się na takie kłamstewko dla wiedeńczyków (*„Gerechtigkeit"*):

„W dniu jego przyjazdu do Warszawy prawie wszystkie pisma warszawskie ogłosiły wywiady ze mną i sprawozdania z konferencji prasowej".

Irenko! najdroższe dziecko, trochę się mylisz! Ty kociaku, widziałaś tylko żargonowe pisma. A tymczasem w Warszawie wychodzą także i polskie. Mecenas Łyk Pacewicz pokazał Ci, słodkie stworzonko, tylko żargonówki. W polskich pismach wywiady żadne jeszcze nie były. Jak się Haranduchno poprawisz, to znaczy, jak troszeczkę schudniesz! Z taką tuszą ani bohaterką ani bojowniczką być nie można. Jeszcze więcej ruchu Renette! Jeszcze więcej!

III. BUNT STARYCH

W Smorgonji Wileńskiej okropna rewolucja. Cała elita stanęła okoniem i dębem. Dziura jest śliczna, ale jak wiadomo poczwarnie bidna. Cała frajda, to jedna cukiernia, jeden *restaurant*, jedna reduta i jedna Smorgonja. Wobec tego, założono tam kilkanaście, czy kilkadziesiąt assocjacyj literackich, artystycznych, muzycznych, archiwalnych, miłośników, zachęt, gospód, michalików, a ponieważ wszystko to pozbawione środków finansowych, więc na to miejsce „Środy Literackie" ze sprowadzonymi z Warszawy i z Łodzi tenorami i kantorami. Wtedy się złażą i komerażą. Jak się można przekonać z Radja (ze Srody Mickiewiczowskiej), poziom intelektualny petomanów. Rej tam wiedzie zagorzały regjonalista, Hulewicz, ongiś apostoł kultury zachodniej w Wielkopolsce, gdzie już nadojadł i znudziwszy wszystkich na Wschód wyemigrował. I tu pod skrzydłami Okulicza mięsa nabrał i pierza, tupetu nie tracąc: *animateur* i *arrivista di primo cartello.*

Pokłócili się tam, w Wilnie swego czasu o książkę: „Pomnik Mickiewicza". Tym się podoba, tamtym nie, każdy chyba ma prawo. „Słowo": *contra* z ankietą. Hulewicz i Okulicz: *pro.* A Helena Romer-Ochenkowska, domorosła bojowniczka o piękno i postęp ludzkości toże: za. Udry na udry. Przy okazji dostało się i monopoliście - spryciarzowi Hulewiczowi. Trochę mu zrobili reklamy karykaturami, a trochę go tam i zgasili za tupet z nieuctwem pożeniony. Że atoli Hulewicz był duszą Smorgonji, *spiritus rector*, więc w elicie lokalnej rozpacz: jeszcze się obrazi, strzepnie kurz z sandałów i wróci do Poznania. Co wtedy z nami i ze Środami? Co ze Smorgonją? Powściekamy się w tej zatraconej dziurze z nudy i z nudów, jak nam te ateńskie igry i neoplatońskie uczty i te konferencje z dyskursami djabli wezmą. I wtedy zdecydowali się Smorgonowie stanąć ławą za Hulewiczem i Helenką z Ochenkowskich Romerową, lokalną *madame* Recamier czy też „Severine"... Rada w radę i protest przeciw „Słowu" i jego atakom. Niech przez społeczeństwo przejdzie dreszcz aż do kości! Potrzebny wstrząs, który „trzewiami zatarga". Helenka zbierała na arkuszach, Hulewicz telefonem akcję regulował, no i wreszcie protest gotów. Podpisali się wszyscy. *Creme de la creme.* Najtęższe, najpoważniejsze firmy i autorytety: Babrukiewicz rzeźbiarz, szpitala wojskowego komendant Dobaczewski, nieutulony z radości Ehrenkreuz, „prezes rady administracyjnej Instytutu Nauk Badań Europy Wschodniej", radna Tieldorfowa, Hiller, Hurynowcowa, Jakowicki, Jamontt, Jantzenowa, Zysakowski, oboje Niewodniczańscy, oboje Pełczyńscy, oboje Reicherowie, oboje Szelągowscy, Stachiewicz, Swianiewicz, Szpakiewicz, wreszcie ks. dr. Piotr Sledziewski, nie tylko kapelan wojskowy ale i historyk sztuki, oraz kilkudziesięciu docentów U. S. B. B. W. R. Bez „Smorgonji" oni już nie wytrzymają! Ze „Środami Literackiemi" się zżyli. Hulewiczowi zawdzięczają całą „urodę życia" wileńskiego. Na co innego dzisiejszego inteligent-proletarjatu z uniwersyteckiem wykształceniem już nie stać. Hulowicz z Helenką robią z Wilna nowe Ateny. Wobec tego świętości nie szargać, dać. H-wi święty spokój (i pole do własnej twórczości). Przeprosić! Przeprosić Hulewicza i dać mu *ehrenkreuz* z mieczami i gwiazdą i z uwolnieniem od taksy i frachtu.

I Hulewicz dumny chadza w glorji, „Gazeta Polska" przedrukowała protest Smorgonów. *Ergo* nie tylko całe Wilno, ale cały kraj, cała elita Bebeworów, całe mocarstwo za nim!! Sprytny bubas i obrotny. Szkoda go już dla Wilna. Marnuje się! Dać go do Warszawy, do propagrandy, na prezesa *Pen-Club*'u, na redaktora „Pionu", albo do „Ipsy", albo do „Pima". Wentualnie możnaby go na szefa Pata, a Cata, za karę, wpakować... do... Kuny. Po staropolsku.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

O niedawnych rozruchach komunistycznych w Amsterdamie zanotować warto interesujący szczegół. Oto, jak pisze sjonistyczny „Nasz Przegląd" — „z walk ulicznych, które toczyły się głównie w dzielnicach nieżydowskich, ludność żydowska n a o g ó ł n i e u c i e r p i a ł a"...

Taki niezwykły zbieg okoliczności powtarza się przy komunistycznych rewolucjach regularnie. Zwrócił już na to przed dziewięciu laty uwagę K. H. Rostworowski w swoim, niestety, niedostatecznie znanym dramacie „Antychryst".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM